№ 38. Warszawa, dnia 10 (22) Września 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. –Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWCZA, w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Niewiasta Rzymska

studyum panny Klarysy Bader. Paryż 1877.

przez Autorkę Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dokończenie).

Jakkolwiek otoczona poszanowaniem męża, dzieci i domowników, niewiasta rzymska od kolebki do grobu uważaną była prawnie za małoletnią. Wdowa nawet nie mogła rozporządzać własnym majątkiem, przywilej ten służył wyłącznie westalkom. Mąż panem był domu, w najrozleglejszem znaczeniu słowa. Mógł jednem wyrazem *foras mulier*, wypędzić z domu żonę. Dosyć, aby ją zastał pijącą wino, mógł ją zabić, nie ściągając na siebie żadnej odpowiedzialności. Wprawdzie, trybunał domowy, złożony z *anatów* czyli krewnych, czuwał w pewnym względzie nad małżonką, lecz władza jego nie miała prawnej doniosłości. Szczęściem dla niewiast obyczaje łagodniejsze były niż prawo. Mężowie nie nadużywali swoich przywilejów; co więcej, surowe matrony, pilnie czuwały nad sobą; złamanie wiary w czasach pierwotnych, zdarzało się chyba wyjątkowo. Przy całej wolności, przez lat pięćset z górą, nie było w Rzymie ani jednego rozwodu, jak świadczy Dyonizy z Halikarnasu i inni historycy. W razie pomniejszych sporów małżonkowie szli razem do świątyni na górze palatyńskiej, poświęconej bogini *Viriplaca* (łagodzącej mężów). Tu wypowiadali sobie wzajemne urazy i zażalenia, wracali zawsze pojednani.

Wstąpmy w progi matrony rzymskiej, zobaczmy ją przy codziennych zajęciach. Nie jest to bynajmniej jak w Grecyi, niewolnica zamknięta w obrębie *gineceum*. Wolno jej gdy chce wyjść po za progi, odwiedzać przyjaciół, przechadzać się po mieście, ale matrona nie nadużywa tego prawa. Dom dla niej całym światem, tu czuje się panią i królową. W domu tym ona zajmuje główną salę, *Atryum*. Siedzi na łożu, naprzeciw drzwi wchodowych. Czy to w domu senatora, czy plebeusza, sprzęty niewytworne, pełne prostoty. Rzymianin unika zbytków, znać przeczuwa smutny wpływ, jaki zamiłowanie w nich wywrze kiedyś na społeczeństwo. Matrona jednak ubrana wspaniale, szata jej przyświeca purpurą, w ręku trzyma nieodstępne wrzeciono, przędzie białą i miękką wełnę. Niekiedy powstanie z miejsca, podsyci ogień gasnący na ołtarzu i znów powraca do kądzieli. Oko jej czuwa nad wszystkiem, dogląda pracy służebnych niewiast, ściga swobodne pląsy dziatwy.

Tak matrona spędza dnie zimowe, podczas gdy mąż pilnuje na *Forum* spraw Rzeczypospolitej, lub z orężem w ręku sprawia czaty na kresach państwa. Latem rozszerza się jeszcze koło jej działalności. Rzymianin w czasach pokoju oddaje się często pracom rolniczym. Poważny patrycyusz sam prowadzi pług po ugorze, hoduje trzody, dogląda sprzętu zboża. Matrona pilnuje działu wyłącznie jej powierzonego. Rankiem idzie do obory, tu pod okiem jej pasterze doją krowy, kozy i owce. Ona też przewodniczy strzyżce wełny, sama oblicza runo. Zagląda pilnie do kurników, posypuje ziarno pisklętom. O świcie ona pierwsza na nogach; wyprawia niewolników w pole; gdy odeszli, obchodzi wszystkie kąty, patrzy czy kto nie został. Jeśli niewolnik zachoruje przyrządza i zanosi mu leki, nakazuje spoczynek. W dni słotne, nie wyprawia służebnych za próg domu, zasiada z niemi do kądzieli.

Jesienią praca jej największa, wypada bowiem zaopatrzyć dom, aby mu zimą na niczem nie zbywało. Zbiór owoców, kopanie warzywa, wyrób sera, wszystko to odbywa się pod jej okiem. Sama czuwa nad zbiorem oliwek i winogradu, syci miód, soli i wędzi mięsiwa, odbiera mąkę z młyna, słowem do wszystkiego przyłoży rękę.

Praca obojga małżonków acz odmienna, skierowana do wspólnego celu, tym celem dobrobyt rodziny. Podział zatrudnień określony doskonale. Mąż pracuje po za obrębem, żona w obrębie domu. Jedna praca jest dopełnieniem drugiej. Mąż sadzi drzewa, żona zbiera owoce, mąż hoduje dobytek, żona wyprzęda wełnę, mąż gromadzi zasoby, żona zamyka je na klucz, którego z rąk na chwilę nie wypuszcza widząc w nim jakby królewskie berło swoje.

W tej zobopólnej pracy, w tem poszanowaniu domowego ogniska, w tej ścisłej jedności małżeńskiej, widzimy jeden z najpotężniejszych filarów, na których stało rzymskie społeczeństwo, w pierwszych pięciu wiekach politycznego bytu. Imiona słynnych matron tej epoki, uderzają prawdziwie majestatycznym blaskiem. Rzymianie otaczali je tak wielką czcią, że widzimy w dziejach dwa najważniejsze przewroty polityczne spowodowane głównie zniewagą domowego ogniska.

Było to jeszcze za czasu królów. Sykstus Tarkwiniusz oblegał Ardeę. Dnia jednego wezwał na ucztę obozową grono pierwszych patrycyuszów. Mężowie stęsknieni do ogniska, jęli wysławiać zalety swych małżonek. Jeden z nich Kolatyn, podnosi z najwyższym zapałem cnoty i wdzięki swej nieporównanej Lukrecyi. Uśmiech niedowierzania przebiegł usta kilku obecnych.

— Chcecież przekonać się naocznie, zawoła Kolatyn, dosiądźmy biegunów, zajrzyjmy znienacka w nasze progi!

Patrycyusze rączym pędem dobiegli wnet bram Rzymu, prowadzi ich Sykstus Tarkwiniusz. Noc czarna roztacza się nad miastem, Wpadają naprzód do dworca królewskiego. Gwarno tam i wesoło; matrony siedzą przy biesiadniczym stole. Ztąd pospieszają do domu Kolatyna. Lukrecya w gronie służebnych niewiast, przędzie wełnę przy ognisku w swem *Atryum*.

Uszczęśliwiony małżonek zaprasza gościnnie pod dach swój towarzyszów. Nazajutrz rano wracają wszyscy do obozu.

Sykstus Tarkwiniusz odurzony wdziękami Lukrecyi powziął ohydny zamiar. W kilka dni potem, pod cieniem nocy, pospiesza znów do Rzymu, wkrada się zdradziecko w progi nieszczęśliwej matrony.

Lukrecya nie przeżyje hańby swojej! Nazajutrz powołuje męża i ojca. Zalana łzami, czeka na nich w Atryum. „Przybyli niebawem; towarzyszą im dwaj wierni przyjaciele Brutus i Waleryusz. Znieważona niewiasta opowiada co zaszło. „Śmierć poświadczy niewinność moją, rzecze z postanowieniem. Sykstus Tarkwiniusz nie ujdzie pomsty waszej.

— Przysięgamy! zawołali patrycyusze.

Dumna Rzymianka dobywa sztylet, topi go w sercu własnem, martwa pada na wezgłowie.

Brutus przybiega do niej, wyrywa z piersi matrony sztylet ściekający krwią ciepłą.

— W imię tej krwi, zawoła, biorę was za świadków bogowie, mieczem i ogniem ścigać będę nikczemnego Tarkwiniusza i całe jego plemię! Rzym nie będzie miał królów!

Kolatyn odbiera sztylet z rąk Brutusa, podaje go ojcu, ten wręcza go Waleryuszowi, wszyscy czterej powtarzają przysięgę; niosą na Forum ciało ofiary. Lud doprowadzony do wściekłości widokiem krwi niewinnej, ściga zemstą ród Tarkwiniuszów. Rządy królów zakończyły się w Rzymie.

W wiele lat później, zniewaga zrządzona dziewicy rzymskiej przez nikczemnego Decemwira, staje się powodem nowego przewrotu w dziejach Rzeczypospolitej.

Appiusz Klaudyusz, jeden z dziesięciu najwyższych dostojników piastujących w Rzymie wodze rządu, idąc dnia jednego na Forum, spostrzegł przez okno czytającą w szkole dziewuszkę wielkiej urody. Była to Wirginia, córka Wirginiusza, dzielnego Centuryona, męża nieskazitelnej sławy. Dom Wirginiusza był niegdyś przykładem dla Rzymu. Z godną siebie małżonką, czuwał on pilnie nad wychowaniem jedynej córki. Krótko trwało ich szczęście; matrona umarła, Centuryon powołany do obozu, walczył przeciw obcym najazdom. Sierota rosła pod opieką Numitaryusza, rodzonego brata zmarłej matki. Przyrzekł ją ojciec w małżeństwo trybunowi Illicyuszowi.

Decemwir Klaudyusz zachwycony pięknością Wirginii, postanawia porwać ją gwałtem. Zmawia się z klientem swoim Markusem, powierza mu zbrodniczą sprawę; Markus czyha w ukryciu. Dnia jednego, kiedy Wirginia szła do szkoły w towarzystwie dawnej mamki swojej, zabiega jej drogę, pochwyca silnie za ramię.

— Mam cię, zawoła groźno, tyś moją niewolnicą, jam twoim panem, spełnisz moje rozkazy.

Dzieweczka stoi przerażona, nie śmie postąpić kroku, mamka krzyczy na gwałt, wzywa opieki Rzymian.

Lud zbiega się tłumnie, osłania opieką swą córkę mężnego Centuryona. Legalny Rzym, nie pozwala na gwałty; potrzeba usprawiedliwić je pozorem prawnym. Wie o tem Markus; powołuje Wirginię przed trybunał Decemwira. Oświadcza, jako dzieweczka urodziła się w jego domu, że córką jest jego niewolnicy, i własna matka oddała ją tajemnie, bezdzietnej żonie Wirginiusza.

Obrońcy Wirginii żądają aby zawiesić wyrok, póki ojciec nie wróci do Rzymu, Appiusz opiera się stanowczo.

— Prawo, mówi on, nie cierpi żadnej zwłoki!

— Słyszy to Illycyusz, rozpędza tłumy, staje przed Decemwirem.

— Ja mam zaślubić tę dziewicę, zawoła wściekły z gniewu, skaza dotknąć jej nie powinna. Powołaj gdy zechcesz swych liktorów, niech pochwycą rózgi i topory. Oni mnie nie ustraszą. Narzeczona Illycyusza nie opuści progów ojca swego; uprowadzisz ją chyba po moim trupie.

Tłum poruszony łzami trybuna, zasłania Wirginię; ręczy za nią mieniem i głową. Dekuryon zmuszony ustąpić. Wirginia przez dobę jedną pozostanie w domu ojcowskim.

Tymczasem Illycyusz wyprawia gońców do obozu. Jeśli Centuryon nie powróci do jutra, Wirginia zgubiona!

Appiusz śle gońców ze swej strony, Decemwirowie obecni w obozie, mają trzymać straż nad Centuryonem, nie wypuścić go na krok! Rozkaz przyszedł za późno; Wirginiusz pospieszył do Rzymu.

Ledwie że zaświtał pierwszy brzask, tłumy zebrały się na Forum. W rannym pomroku, smutny orszak zwolna przeciąga ulicą. Stary legionista, prowadzi za rękę cudną dzieweczkę. Chmara mężów i niewiast pospiesza w ślad za nimi. Orszak okrążył plac publiczny. Centuryon zatrzymuje się; wzywa dla dziecka opieki ludu rzymskiego.

Ludu mój! woła z uniesieniem, winieneś pomoc temu, kto wytacza krew w obronie rzymskich niewiast i dziatek!

Illycyusz przemawia także. I on walczy na Forum w imię ludu, niechże lud wypłaci się godnie swym obrońcom!

Słowa ich wyrzeczone z zapałem, poruszyły do głębi serca Rzymian, ale stokroć bardziej poruszyły lud, milczące łzy Wirginii i stłumiony jęk rzymskich matron.

Appiusz zasiadł na trybunale, Markus wygłasza skargę, ledwie że skończył, Decemwir przysądza mu córkę Wirginiusza.

Lud stoi osłupiały. Nikczemny Markus przedziera się przez tłumy niewiast, chce pochwycić młodą dziewicę.

— Stój! zawoła Centuryon, wychowałem córkę moją na czcigodną matronę, zaręczyłem ją z Illycyuszem. Kto z obecnych ma oręż, nie pozwoli na takie gwałty!

Rzymianie milczą. Nikt niestety nie ma oręża! Kto go ma, ten walczy w obozie! Chmara niewiast otacza nieszczęśliwą ofiarę. Zrozumiał Centuryon że opór nadaremny. Błaga tylko o chwilę zwłoki. Pragnie zbadać mamkę w obec dziewczęcia. Jeśli Wirginia nie jego córką, zrzeknie się dobrowolnie praw swoich.

Decemwir przystaje. Wirginiusz uprowadza na bok dziewicę, porywa nóż ze sklepu rzeźnika!

— Dziecię moje, rzecze ze łzami, tym jedynie sposobem wrócę ci cześć i wolność!

I dumny Rzymianin zatapia nóż w sercu dziewczęcia. Staje przed trybunałem, połyska nim w oczy Decemwirowi.

— Niech ta krew nikczemniku — woła z rozpaczą, spadnie z przekleństwem na twoją głowę!

Lud ryknął przeraźliwie. Był to poryk zbudzonego lwa, próżno Decemwir rozkazuje pochwycić Wirginiusza. Tłum otacza go, wyprowadza ku bramom Rzymu, Illycyusz z Numitoryuszem podejmują z ziemi ofiarę. Widok jej doprowadza serca do szału. Niewiasty płaczą na głos. Lud rozpędza liktorów, wyprawia dziewicy najwspanialszy pogrzeb. Ciało wystawione na Forum, odbiera hołdy całego miasta. Podczas gdy lud obnosi je tryumfalnie po ulicach, otwierają się wszystkie domy; wychodzą z nich matrony i dziewice, obsypują zwłoki kwiatami, rzucają na nie co mają najdroższego, złociste pasy, klejnoty, nawet własne warkocze, obcięte pod wpływem uniesienia.

Wirginiusz tymczasem, obryzgany krwią córki, z nożem morderczym w ręku, przybiega do obozu pod strażą obywateli rzymskich. Zrazu milczy, przemawia tylko łzami. Wyciąga potem ręce do towarzyszów; opowiada niedolę swoją.

— Przebaczcie ojcobójcy, woła rozpaczliwie, i wy macie żony i dzieci, i dla was cześć domu droższą nad życie córek!

Wojsko porywa za oręż. Upadek Decemwirów był odpowiedzią na łzy pokrzywdzonego ojca!

Wirginiusz mianowany trybunem, zasiadł na Forum, w temże miejscu gdzie gwałt podał mu w rękę nóż morderczy. Stawiono przed nim Decemwira. Wtrącony za kratę więzienną, nikczemnik skończył dni samobójstwem.

— Wirginia, mówi Liwiusz, szczęśliwsza po śmierci niż za życia, spoczęła w cichym grobie, gdy prześladowcy jej padli ofiarą własnych zbrodni.

I cóż mi na świecie tym?

Niebo słonecznym płonęło lazurem,
Zielone wierzby, szmaragdowym sznurem,
Patrzały smutne w głębiny jeziora,
Które muskały skrzydłami łabędzie
Bo zachwycone były liliami
Które patrzały w okół z rosy łzami...

* * *

Ale na brzegu cichym i spokojnym,
I w *Niezabudki...* kwiat pamięci strojnym,
Siedziało dziewczę, śliczne, złotowłose,
A oczy? oczy? chyba ona skradła,
Gdzieś aniołowi i w swoje pokładła...
I śpiewa piosnkę której nuta smutna,
Na wpół wesoła — i na wpół okrutna,
Patrzy się w fale — i dziwnie się śmieje,
Straciła wiarę, miłość i nadzieję.

. . . .

Wkrótce — w jezioro spojrzał księżyc srebrny,
Łabędź zaśpiewał jakiś śpiew pogrzebny,
Lilie białe pochyliły głowy,
I odezwało się huczenie sowy...

* * *

W kilka lat potem, widzieli u Fary,
Ową dziewicę, wiódł ją mąż dość stary,
Do stóp ołtarza, no i zaślubieni,
Kochają rubla i kawał pieczeni...
Dziewice nasze, to dla Was przestroga,
Niezabijajcie serca w imię Boga.

Miron.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Pochylony nieco, patrzałem w twarz jej z upojeniem i żalem. Kiedy mówiła i kiedy umilkła myślałem: dla czego mając taką zdolność wierzenia nie wierzyłaś własnej przyszłości? Czemu nie czekałaś na mnie? dla czego nie przewidziałaś że spotkamy się jeszcze kiedyś na świecie? dla czego tak dalekim

jesteś ode mnie, tak mi niedosięgłym, zdroju mój ukojenia, wzmocnienia i szczęścia?

Nie patrzała na mnie. Przed chwilą przybiegło do niej jedno z jej dzieci i położyło głowę na jej kolanach. Zwolna przesuwała dłoń po włosach dziecka i siedziała nieruchoma, ze spuszczonemi powiekami. Czy nie patrząc na mnie czuła przecież wzrok mój przywiązany do twarzy jej z tłumem zapytań i wyrzutów, czynionych nie jej, losowi może, najprędzej, własnemu szaleństwu memu, które niegdyś oderwało mię od niej?... Zobaczyłem jak na policzki jej wybił się blady zrazu rumieniec i w mgnieniu oka zmienił się w płomień który opłynął całą jej twarz. Czoło jej było w ogniu, usta zadrżały...

Jednocześnie powstała i owijając się długim swym płaszczem spojrzała gdzieś daleko takiem głębokiem, takiem rozdzierająco smutnem spojrzeniem, że wstałem także i o jeden krok oddalony od niej, wytężyć musiałem wszystkie siły woli i przytomnej myśli, aby nie wyciągnąć ramion i nie ogarnąć ją szalonym uściskiem.

Ze wszystkiego com napisał, dowiesz się mój kochany Jerzy, iż ubyło mi w tych czasach wiele rozumu. Tak to już na świecie. Człowiek najrozważniejszy nie może nigdy przewidzieć wszystkiego o czem donosić mu przyjdzie najlepszym swym przyjaciołom. Donoszę ci mój Jerzy iż pomimo hartu charakteru mego którym się tak szczyciłem, pomimo dyplomów naukowych i prozaicznej praktyki lekarskiej której święcę życie, jestem tak jak inni ludzie prostym zupełnie śmiertelnikiem, słabym śmiertelnikiem, mogącym strasznie cierpieć przez rzecz tak błahą jak tęsknota za kobietą, jak ta nieopisana przemoc, która mię ku niej pociąga a którą przecież, poskramiać muszę...

Pożegnaliśmy się wkrótce. Musiała wracać do domu. Rzecz to bardzo zrozumiała. Trzeba jej przecież było zasiąść do wieczerzy z małżonkiem i niewiniątkami. Prosiła mię abym wszedł do jej mieszkania. Podziękowałem za grzeczność i poszedłem do siebie. Nie jestem do tego stopnia ucywilizowanym człowiekiem, aby módz przyjemnie zabawiać się w towarzystwie pomiędzy które rozdzieliła ona tak dobrze uczucia swe i całe swe życie... Niech będą szczęśliwi! Nie przeszkadzam... Śmiej się Jerzy, ze wszystkich pretensyi ludzkich do doskonałości, ilekroć ujrzysz je albo o nich posłyszysz. Gdybym mógł przeszkodzić temu wzorowemu, regularnemu jak Genewski zegarek, szczęściu, kto wie? czy srogi Anioł który z mieczem karności strzegł dotąd życia mego, nie ustąpiłby przed Szatanem? Łatwo powiedzieć: nie przeszkadzam! kiedy się nie wie czy przeszkodzić można a raczej gdy się wie że nie można. Ale gdybym wiedział że mogę... Czy jestem człowiekiem uczciwym albo nim nie jestem? czy myślałem często o tem, że ludzie uczciwi szanować powinni cnotę kobiet i spokojność rodzin, albo o tem nigdy nie myślałem? nie pamiętam. Nie mam siły filozofować. Wiem tylko że te głębokie, smutne oczy kobiece stoją wciąż przedemną i fatalnie przeszkadzają mi w pracy. Nie mogłem dziś ani czytać ani pisać porządnie, dla tego może uczęstowałem cię tym długim listem.

...Koniec końców, jakie prawa ma Iwicki aby na tym padole płaczu być szczęśliwszym ode mnie? czy jestem mniej wart od niego? czy mniej pracowałem? czy mniej karnie i nieposzlakowanie wiodłem moje życie? Prawa pierwszeństwa, historyczne prawa do posiadania podbitej prowincyi!

W jakim kodeksie prawodawstwa czy moralności napisanem jest abym nie bywał w domu pani Maryi Iwickiej, abym nie śmiał podnosić na nią oczu i brać od niej to, czem sama chce mię obdarzać, to jest widoku jej twarzy, dźwięku jej głosu, kilku słów przyjaznych, pociechy w złych chwilach?

Postanowienia moje, Jerzy, były prostemi następstwami ascetycznego życia które wiodłem na mojej poleskiej pustyni. Zaczynam uczuwać wstręt do karmienia się szarańczą i umartwieniami. Pójdę tam jutro i pojutrze i zawsze kiedy zajęcia moje pozostawią mi chwilę wytchnienia. Nie mogę inaczej, choćbym chciał.

Adam.

LIST XX.

Marya do Klementyny.

Ongród, d. 20 Kwietnia.

Droga moja i dobra przyjaciółko! Kiedyśmy się ostatni raz rozstawały z sobą, przyrzekłam ci że jeżeli zajdzie zemną coś niezwyczajnego, dowiesz się o tem zaraz. Dotrzymuję danego ci przyrzeczenia. Niedawno jeszcze myślałam że dotrzymać zdołam wszystkich przyrzeczeń danych sobie i innym...

Stała się zemną rzecz niezwyczajna. Dotknęło mię największe nieszczęście jakiego zaznać może myśląca istota ludzka. Zawiodłam się na samej sobie.

Wczoraj, Klementyno, po strasznie długiem niewidzeniu, widziałam znowu Adama. Nie szukałam tego spotkania, nie wzywałam go, nie oczekiwałam nawet. Wierzyłam mocno w siłę przekonań i innych przywiązań moich, że zdolne one będą zepchnąć tę nową kartę mego życia w krainę snów przelotnych... że gdy raz uleci ona w przeszłość niepowrotną, wszystko we mnie i wkoło mnie zostanie tak jak było..

Przyszedł. Rozmawialiśmy z sobą w ogrodzie krótką godzinę. Wróciłam do domu jak upojona. Przez cały wieczór chodziłam jak senna i gdyby mi ktokolwiek rozkazał był zdać sobie sprawę z tego co mówiłam, co czyniłam, na co patrzałam, wybuchnęłabym była śmiechem albo płaczem i zawołała: alboż ja wiem?

Około północy, w domu zrobiło się cicho zupełnie. Zostałam nakoniec sama i odetchnęłam jak po długim przymusie. Klementyno! czy ty to słyszysz? Ja po rozstaniu się z rodziną moją i z domownikami moimi odetchnęłam jak po godzinach męki, ja, która z nimi tak szczęśliwą bywałam, która tak chętnie i szczerze oddawałam im zawsze cały czas mój i całe moje serce!

Siedziałam sama jedna przed dogasającym na kominie ogniem i było mi strasznie zimno. Na świecie ciepłe już są noce, w pokoju przez wieczór cały palił się ogień a jednak ja drżałam od stóp do głowy. Przejmowała mię nawskroś trwoga o jutro. Czułam że cała moralna istota moja chwieje się w swych podstawach.

Z gorzkiego zamyślenia obudził mię szelest jedwabnej sukni. Klotylda weszła do pokoju i naprzeciw mnie usiadła. Z pomiędzy wszystkich pod słońcem śmiertelnych ją najmniej chciałabym wtedy widzieć przy sobie. Przewidywałam że jak zawsze bywało przyszła powierzać mi swoje sercowe tęsknoty i marzenia albo wzywać mej rady względem szczegółów wyprawy ślubnej, którą sporządza z uradowaniem i chronicznem rozrzewnieniem 16-letniej dziewczyny. Epoka niewyczerpanej cierpliwości skończyła się znać dla mnie. Chciałam wstać i odejść.

Ale Klotylda pochwyciła moją rękę w swoje puchowe dłonie i bardzo cicho rzekła:

— Mam z tobą do pomówienia, Marciu, nie o sobie ale o tobie samej. Jesteś bardzo dobrą, więc nie rozgniewasz się na mnie. Zresztą, cóż cię obchodzić mogą gadaniny świata? Ty przecież jesteś inną niż my wszystkie, biedne zwyczajne kobiety, i o świat niedbasz. Jednak ja cię tak kocham że przestrzedz cię muszę...

Słuchałam ją nawpół tylko. Nie byłam ani trochę ciekawą tego co powiedzieć mi miała. Milczałam więc.

— Moja Marciu, mówiła dalej Klotylda, chociaż ty jesteś rozumną i uczoną kobietą i nie dbasz o to co świat o tobie mówi, jednakże opinia świata jest najdroższym skarbem dla każdej kobiety.

— Świat mówi, moja droga, kończyła, że p. Adam Strosz kocha się w tobie!

Boże litościwy, mogąż ludzie tak niemiłosiernie dotykać ran cudzych! Mogąż ręce ludzkie obce, zimne, brudne może, szperać w głębinach serc naszych w które my sami spoglądać możemy tylko, z rozpaczą! Siła jakaś nagła podniosła mię z krzesła. Nie było mi zimno, owszem, czułam oblewający mię od stóp do głowy ukrop bólu i wstydu.

Klotylda nie pozwalała mi odejść trzymając wciąż rękę moją w obu swych dłoniach. Pomimo gwałtownego wzruszenia dostrzegłam w oczach jej, w tych blado błękitnych oczach błysk tryumfu.

— Widzisz, szeptała, ja nie chciałam sprawić ci przykrości ani ubliżyć ci. Ja cię tak kocham i wiem przecież że jesteś rozumną i bardzo wzniosłą kobietą, nie taką jak my sobie wszystkie zwyczajne, pospolite kobiety. Tylko myślałam że przestrzedz cię powinnam. Ludzie gadają że p. Strosz nibyto jest takim zawziętym uczonym i poważnym człowiekiem a jednak na zabój kocha się w tobie... w mężatce... Bóg jeden wie zkąd oni o tem wiedzą... o czem ludzie nie wiedzą? Wczoraj jeszcze kłóciłam się z żoną doktora Gustawa o pana Strosza i o ciebie, ale cóż ja mogę? Świat jest złośliwy... a Michał gdyby się o tem dowiedział... Zresztą i Natalka jest już dorosłą prawie dziewczyną a gadaniny te o tobie mogłyby potem i do niej ludzi zrażać...

Każde ze słów jej było długą, dobrze zaostrzoną szpilką którą łagodna ta istota wkładała w moje serce, niby w tę poduszeczkę paciórkami wyszytą która przyozdabia jej gotowalnię. Coś jednak, uczucie dumy i godności zapewne którym po raz pierwszy w życiu mem ubliżono, powstrzymało mię od wybuchu.

— Kochana Klotyldo, rzekłam mocując się z głosem moim który drżał, proszę cię abyś myśląc o mnie spokojnie usypiała. Gdybym była na twojem miejscu, powiedziałabym żonie doktora Gustawa i wszystkim żonom wszystkich doktorów którzy p. Adamowi zazdroszczą jego wziętości i sławy, że odgadywanie uczuć i myśli ludzkich nieobjawionych jeszcze żadnym postępkiem, może stanowić zajęcie tych tylko ludzi, którzy pragną sławą i spokojem bliźniego czas swój zabijać!

Klotylda wstała. Nie znać było na niej obrazy ani zasmucenia. Owszem stanęła przedemną i wzięła obie już moje ręce.

Widzę, że rozgniewałaś się na mnie, Marciu, rzekła. Dziwi mię to bardzo bo przecież jesteś nie taką jak my pospolite kobiety, ale Aniołem dobroci który nie gniewa się nigdy. Ja widzisz, choć jestem biedną istotą, sto razy niższą od ciebie pod każdym względem, chciałabym być twoją przyjaciółką. I jeżeli kiedykolwiek, moja droga Marciu, cierpieć będziesz przez to czem dotąd, jako kobieta wyższa, gardziłaś, powiedz mi o wszystkiem szczerze, otwarcie, a chociaż jestem siostrą Michała, znajdziesz we mnie współczucie i może jaką pomoc. Ja bo, widzisz, wiem co to miłość i wszystko przebaczyć mogę tym którzy przez nią cierpią...

Wymówiwszy to przyłożyła na chwilę usta swe do mego czoła i odeszła zwolna, szeleszcząc jedwabną suknią. Nie wiem czy widziałaś kiedy, Klementyno, jak te łagodne, pełne tkliwości i poddania się oczy

kobiet takich jak ona, mogą czasem złośliwie i zwycięzko spoglądać! Jakie ostre, przenikliwe światełka napełniają blade te źrenice w chwilach czyjegoś upokorzenia a ich tryumfu!

Było to upokorzenie, był to wstyd, była to gorycz najstraszniejszego z zawodów, bo zawodu na własnych siłach, o których mniemałam że jak niewzruszone opoki, strzedz będą zawsze mej nieskazitelności!

A jednak była to tylko krótka chwila po której nad upokorzeniem i wstydem i goryczą zawodu, wzniosło się uczucie inne i przytłumiło je... było to uczucie świadomości takiej o której za cenę życia pragnęłabym zapomnieć i której wydrzeć nie dałabym sobie za cenę życia. Przez usta Klotyldy świat powiedział prawdę. Sama wiem już o wszystkiem Klementyno! wiem już dla czego rozmawiając zemną zapada on w długie milczenia i twarz jego bledniej zwolna, jakby serce jego ściskała jakaś dłoń żelazna! Wiem o czem myśli wtedy gdy powieki opadają mu w dół a na czoło występują dwie głębokie bruzdy! Wiem dla czego ilekroć spotykamy się ze sobą, surowe i zamyślone rysy jego miękną w uśmiechu nieopisanej słodyczy! Wiem wszystko... odgadłam... przeniknęłam... O! dla czegoż nie mogę wątpić i wątpliwością studzić własnego serca? dla czegóż ten strumień gorący który wre w jego piersi, przez oczy jego, przez uśmiech, przez dźwięk głosu, przez te nagłe bladości które mu na twarz spadają, wnika we mnie tak że wiem, niewiedzieć, nie mogę iż czuję i cierpię nie jedna!

Gdyby mi kto rozkazał po imieniu nazwać uczucie które świadomość ta we mnie budzi, nie umiałabym powiedzieć czy to jest szczęście albo rozpacz, wiem tylko że pierwsze i druga topią się we mnie w morze niepojętego żalu, a ten płacz wewnętrzny który przez dnie i miesiące szemrał na dnie mej piersi, rwąc ją zwolna i cicho, lecz który teraz wybuchnąć musiał płomieniem szału i zdrojami łez!

Po nad upokorzeniem, wstydem i goryczą zawodu, wzniosło się we mnie jedno uczucie, jedno pragnienie: zobaczyć go! Czułam się bardzo nieszczęśliwą. Potrzebowałam pociechy. On dziś po nią przychodził do mnie. Ja teraz biegłam po nią do niego. Biegłam do mojej pracowni aby przez jej okno spojrzeć na jego okna... Nie zobaczyłam ich. We wnętrzu mieszkania zagasła lampa samotnego pracownika. Za ogrodem, wszędzie na całym świecie było zupełnie ciemno... Okropnie zabrakło mi tych dwóch świateł dalekich, od których przez dnie ubiegłe z najwyższem wysileniem woli odwracałam wzrok mój, a za których ujrzenie teraz, oddałabym była połowę życia! Pomyślałam, że przyjdzie zapewne czas w którym te okna zagasną dla mnie na zawsze... Wszak on odjechać może gdzieś daleko... Wszak nic nas nie wiąże prócz uczuć niewymówionych ani jednem słowem, nieobjawionych dobrowolnie ani jednem spojrzeniem... Uczucia! usypiają one i konają w piersi gdy nie odżywia ich nadzieja lub szczęście... Więc on może kiedyś stać się dla mnie obcym... przyjdzie pora w której nie będę widzieć go nigdy i tylko od czasu do czasu imię jego przyleci do mnie na skrzydle sławy, tak jak przylatują imiona wielu nieznanych mi ludzi, kto wie? przyleci może w parze z jakiem... kobiecem imieniem... Ogarnęła mię trwoga nieopisana i uczucie niepodobieństwa. Zlękłam się przyszłości bez niego i z zawrotem myśli, powiedziałam sobie: to niepodobna!

W dole, u stóp domu, krzewy rosnące w ogrodzie oblane były smugą srebrnego światła. Wypływało ono z pokoju Michała który snać czuwał jeszcze. Pochwyciłam ze stołu lampę i powiedziałam sobie: pójdę. Wszak było to zwyczajem naszym zchodzić się po dniu skończonym w pokoju tym na dole, aby rozmawiać o wszystkiem co nas wspólnie obchodziło. Niepodobna przeliczyć ile razy w późnej wieczornej porze siadywałam w pokoju tym dopomagając Michałowi do rozwikływania różnych spraw trudnych, nasuwając mu myśli i plany nad którem długo potem myśleliśmy razem. Po każdej z takich poufnych rozmów nazywał mię on pociechą swoją i pomocą...

Pójdę i teraz, myślałam idąc z lampą w ręku przez ciemne, milczące pokoje, przyjdę do ciebie i dziś ale nie dla tego aby przynieść ci pociechę i pomoc. Przyjdę aby powiedzieć ci: za to żeś kiedyś podał mi pomocną rękę gdy byłam w nieszczęściu, żeś mi skon ojca zbawił od rozpaczy i wstydu, za to żeś powierzył mi cześć imienia swego i przyszłość swych dzieci, zaufał mi bez granic i węzeł łączący cię zemną oddał pod straż wolnej i nieprzymuszonej mej woli, przyniosę ci teraz zgryzotę, wstyd i ruinę domowego życia, przynoszę, słowo które wiem że będzie dla ciebie wyrokiem nieszczęścia: oddaj mi wolność moją! Oddaj mi wolność moją, bo nie jestem taką, za jaką miałeś mię i za jaką ja miałam samą siebie, nie jestem kobietą dobrą, wierną, silną i nieskazitelną ale taką samą słabą, nikczemną grzesznicą jak tysiące innych kobiet na świecie! Nie jestem tylko przewrotną i obłudną więc przychodzę aby z bezczelną szczerością powiedzieć ci: oddaj mi wolność moją bo pokochałam pierwszy raz w życiu, bo nie chcę już dłużej szczęśliwą być przez szczęście innych, ale pragnę szczęścia tego, którem wzgardziłam a bez którego teraz żyć mi nie sposób!

Jak on cierpieć będzie! pomyślałam zstępując ze wschodów.

I cóż ztąd, odpowiedziałam sobie z szalonym jakimś gniewem.

A *tamten* czy nie będzie cierpiał także gdy zniknę mu z życia jak srebrny zdrój z przed oczu spragnionego?

Suknia moja zaczepiła się o jeden z wazonów któremi zwykle na wiosnę ostawiam wschody. Rzuciłam okiem na gęstą zieloność roślin wśród której migotały białe światła lampy którą niosłam.

Znikną ztąd kwiaty gdy ja zniknę, pomyślałam. Na dom ten spadnie żałoba. Chłód zawodu ściśnie tu serca dziecięce...

Ile razy przez głowę przemknęło mi które ze wspomnień niedawnej jeszcze przeszłości, tyle razy czułam straszne ściśnienie serca. Szłam jednak wciąż. W głowie mojej, dziwnem psychicznem zjawiskiem istniała druga nić myśli, zaczepiona o te dwa okna za ogrodem których światła nadaremnie dziś szukałam śmiertelnie stęsknionemi oczami i drugi zmysł wzroku którym ciągle, nieustannie widziałam twarz *jego* bladnącą zwolna, ze spuszczonemi powiekami i tym uśmiechem na ustach, z tym uśmiechem niewymownej, tajonej czułości. który mi serce wydzierał z piersi...

Drzwi pokoju Michała były nawpół otwarte. Stanęłam przed progiem i doświadczyłam uczucia takiego, jakbym nagle budziła się z burzliwego snu...

Dla czegóż ten człowiek właśnie cierpieć miał a nie tamten? komu przyrzekałam wierną przyjaźń i pomoc, temu czy tamtemu? Jakież są winy jego przeciw mnie popełnione? Czy z ręką na sumieniu położoną mogę powiedzieć sobie że nie mam dla niego szacunku, tego najkosztowniejszego dyamentu w skarbnicach rodzin? gdyż jestem, jak tyle innych kobiet, niewolnicą, zmuszoną poddawać się uściskom mężczyzny ze wstrętem, ze wzgardą, na mocy lekkomyślnie wyrzeczonej przysięgi i despotycznej woli władzcy i pana? Nie; jestem kobietą która w wieku dojrzałości i rozwagi stanęła obok człowieka tego i stała przy nim dotąd dumna, wolna, szanowana, nie czująca ani kajdanów przymusu ani grubiańskiej woli tego który umiał zawsze szanować jej wolę! Tamte mają prawo rwać węzły które im niosą męczarnię i spodlenie. Ja... znajdowałam obok niego cnotę spokojną a dzisiejszej męczarni mojej cóż on winien?

Burza namiętności spadła na dno mej piersi i wrzała tam tłumioną rozpaczą ale słowa z jakiemi tu przyszłam zamarły mi w gardle...

Michał nie spostrzegł mię zrazu. Stałam więc w progu i przez długie kilka minut przypatrywałam się mu z nagle powstałem zdziwieniem. Takim jakim ujrzałam go nie widziałam go nigdy. Zwykła energia postawy jego i pogoda twarzy zniknęły. Siedział przy stole z głową opartą na dłoni i z przygarbionemi plecami. Czoło jego fałdowało się w mnóstwo boleśnych zmarszczek a wzrok utkwiony w leżących na stole papierach nie musiał nic widzieć bo szklistym był i wewnątrz jakby cofnionym. Wyglądał tak jak człowiek z osłupieniem patrzący we własne swoje, ciemne myśli. Przeszłość Klementyno, nie mija nigdy bez śladu. Miałam ze sobą i lata przyzwyczajeń codziennych i świętych, lata ciągłej, bacznej troskliwości o spokój i szczęście tych którzy mię otaczali. Zbliżyłam się cicho i kładąc dłoń na ramieniu Michała, zapytałam:

— Co ci jest, Michale?

Podniósł głowę, spojrzał na mnie i wzrok jego rozpromienił się nagle.

— Przyszłaś tu! zawołał.

W mimowolnym wykrzyku tym nie było z pewnością intencyi wyrzutu, a jednak uczułam w nim wyrzut. W istocie długie tygodnie minęły odkąd tu byłam po raz ostatni. Pierwsze poruszenie Michała było takie jakby chciał porwać się z krzesła i objąć mię uściskiem. Nagle jednak powstrzymał się i milcząc przysunął mi krzesło do stołu. Nie patrzałam na niego ale czułam że on patrzał na mnie bacznie i uparcie.

— Dla czego, zaczął po chwili, wahającym się głosem, dla czego Maryo zapytałaś mię wchodząc: co mi jest? czy znajdujesz że zmieniłem się pod jakimkolwiek względem? Chciałbym przecież... staram się... zdaje mi się że jestem zupełnie... zupełnie takim jak byłem zawsze.

Podniosłam na niego wzrok. Gorączkowy prawie niepokój był w jego oczach.

— Tak; odpowiedziałam siląc się na wydawanie głosu który nie chciał wychodzić mi z piersi, znajduję w istocie że jesteś dziś zmienionym.

— A! zawołał z pośpiechem, być może! być może miałem w ostatnich dniach wielkie zmartwienie, poniosłem znaczną pieniężną stratę a najprzykrzejszą tem, że stała się w skutek własnej mojej nieuwagi i zaniedbania...

Wstał i chodząc po pokoju nierównym, śpiesznym krokiem opowiadał mi jak został niedawno wprowadzonym przez spólnika swego w matnią, przykrą i niebezpieczną z której wydobyć się mógł kosztem zaledwie strat znacznych i dotkliwych. Z trudnością skupiałam myśl moją aby wniknąć w treść i znaczenie sprawy którą mi opowiadał, ale to tylko z niej pojmowałam najjaśniej, że pierwszy raz odkąd zamieszkaliśmy pod jednym dachem, niewiedziałam o przykrych zajściach które spotkały Michała.

(*d. c. n*).

MASZKARY.

Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach, z życia ludu wiejskiego ułożony.

(Dalszy ciąg).

AKT DRUGI.

Dekoracya ta sama co w pierwszym akcie.

SCENA I.

Janek a później Kasia.

Janek (wbiegając od drogi ku domowi). Kasiu, Kasiu! (Kasia wychodzi z domu). Takem się zmęczył biegnąc do ciebie.

Kasia. I cóż ci było tak pilno?

Janek. Idę z karczmy, żebyś ty wiedziała co tam różnych Maszkarów, że i ja zrobiłem sobie nos. O! patrzaj! (kładzie sztuczny nos).

Kasia. O! masz się z czem przechwalać.

Janek. Ej! ja to fracha, ale inne Maszkary to naprawdę mają z czem. Najprzód idzie...

Kasia. A z temeś to tak pospiesznie szedł do mnie?

Janek. Nie, nie z tem moja Kasiu, ale z czem, to przepomniałem...

Kasia. Ej, ty ladaco (chce odejść).

Janek. A teraz wiem (zatrzymując ją) jedna Maszkara będzie *Ladaco.*

Kasia. To i cóż z tego?

Janek. Ten Ladaco to prawdziwy Ladaco, bo co mu Gajdowa szepnie w ucho, to on ręką w stół i powiada: już ja mu dobrze przypieprzę.

Kasia. Komu?

Janek. No ja nie wiem, ale co znowu Ladaco nachyli się do Gajdowej, to ona mówi: Zosia tam jak Zosia, ale pan Władysław...

Kasia. No to cóż?

Janek. A trzeba zaraz powiedzieć Zosi.

Kasia. A cóż takiego?

Janek. No, to co w karczmie gadali.

Kasia. Ach! jaki ty dziwny.

Janek. Gdzie Zosia?

Kasia. A cóż to, nie wiesz że razem z gospodarzem na obiedzie we dworze.

Janek. Prawda, przepomniałem, ej! Kasiu, żeby to nas byli zaprosili...

Kasia. Teraz chodzą razem między połomkami i oglądają oziminę.

Janek. Żeby my tak z sobą chodzili.

Kasia. Tak wypada córce z ojcem.

Janek. Ach! Kasiu, żebym ja był córką, a ty ojcem.

Kasia. Ej! ty bajdugo, bajdugo.

Janek. Prawda, zmyliłem trochę, ale...

Kasia. Chodź lepiej do domu, bo oto już wracają Zosia z gospodarzem.

SCENA II.

Błażej i Zosia.

Zosia w pasterskim kapeluszu i w szaliku lekkim. Błażej w kapeluszu włościańskim z laską w ręku — wchodzą drogą).

Zosia. Ach! jaki chłód przyjemny! (zdejmuje kapelusz i szalik).

Błażej (siadając na ławce, zdejmuje także kapelusz). Taki upał, a ja cię wodziłem za sobą.

Zosia. Bardzo jestem z tego kontenta.

Błażej. Już przeszło cztery tygodnie jak nie byłem w polu.

Zosia (siadając przy nim, smutnie). Wiem o tem ojcze...

Błażej. Chciałem obejrzeć z własnem dzieckiem, jak tam Bóg znaczy w polu, a ty taka delikatna...

Zosia. Bądź spokojny, mój ojcze, pani Glinkowa... ale przyniosę ci ojcze piwa, po przechadzce, będzie ci smakowało.

Błażej. Jaka ty pamiętna moje dziecko.

Zosia. Zaraz powrócę (wstaje i biegnie ku domowi).

Błażej. Ale wprzódy obmyj się ze zgorzelizny.

Zosia. Dobrze — dobrze — (wchodzi do domu).

SCENA III.

Błażej (sam — patrzy za odchodzącą). Poczciwe dziecko, (pauza) nie dla niej żywot między nami (zamyśla się). Państwo Glinkowie zawsze jej na ustach... i pan Władysław zawsze ze spojrzeniem był przy niej — hm! (zamyśla się). To syn jedyny... Gdzie oczy tam i serce; w kochaniu, młodość na nic nie baczy... nieszczęścia łzami nie okupi, a tam łatwo o to.

SCENA IV.

Błażej i Zosia.

(Zosia wchodzi z dzbankiem, szklanką i serwetką).

Zosia (idąc — do siebie). Skorzystam ze sposobności (nakrywa — nalewa piwo). Otóż jest wszystko w porządku (podsuwa szklankę) — piwko smaczne, pieniste, tak jak lubisz mój ojcze.

Błażej (biorąc szklankę). Bóg ci zapłać moje dziecko — (pije).

Zosia (siadając przy ojcu). Zaczęłam mówić o pani Glinkowej, otóż nie uwierzysz mój ojcze jaka ona jest dobra dla mnie.

Błażej. Wiem o tem moje dziecko, niech jej Bóg zapłaci za tę poczciwość.

Zosia. Pan Glinka także mnie bardzo lubi, i często z nim, o tobie mój ojcze rozmawiamy.

Błażej. A pan Władysław? (bacznie spoglądając na nią).

Zosia (z pomieszaniem). Pan... Władysław...

Błażej (po chwili). Gdybyś swej myśli nie kryła...

Zosia. To też ojcze chcę ci wyznać wszystko...

Błażej. Mów moje dziecko, mów.

Zosia (po chwili nieśmiało). Pan Władysław chce się ze mną ożenić.

Błażej (po chwili z ciężkiem westchnieniem). A ty?

Zosia. Ojcze! on tak dobry, tak zacny...

Błażej. Czy rodzice wiedzą o tem?

Zosia. Matce już powiedział, a z ojcem rozmówić się ma sama pani Glinkowa...

Błażej (z mocą). Czy to ja jaki przybłęda, żeby o moje dziecko skradać się jak złodziej do komory.

Zosia. Mój ojcze uspokój się, pani Glinkowa uprosi...

Błażej. Grzędzianki nie prosiły nigdy nikogo o kawalerów. Ojcowie i matki szli na wyścigi ze swemi synami, a Grzędówne wybierały między niemi jak w jabłkach na jabłoni.

Zosia. Wiem o tem mój ojcze, ale ja... (milknie nagle).

Błażej (po chwili). Tak, to prawda, tyś inna, ale wyproszona synowa, moje dziecko, to jak czarna owca między białemi, co każdy pyta po co się tu ona wmieszała?

Zosia. Oddzielimy się od ludzi.

Błażej. Ale ludzie się od was nie oddzielą.

Zosia. To nie będziemy na nich zważać.

Błażej. Moje dziecko to ból, a ból ciągły zmoże wszystko, nawet kochanie.

Zosia (z przerażeniem). Ach! ojcze cóż zrobić?

Błażej (po chwili milczenia). Zapomnieć.

Zosia. Zapomnieć! Nie, to niepodobna.

Błażej. Tak jest moje dziecko, zapomnieć! Czyż chcesz żeby ciebie zapomniano?

Zosia. O! nie ojcze, on nie zapomni...

Błażej. A jak zapomni?

Zosia (w rozpaczy). Och! (po chwili walki odpowiada głosem spokojnym i stanowczym). To umrę ojcze.

Błażej. Umrzesz! na wieczną moją żałość a twoją sromotę.

Zosia. To ojcze... (zbierając siły) — gdyby zapomniał... wzgardzę nim i także zapomnę.

Błażej. Tak moje dziecko, to i mądrze i poczciwie — ale uspokój się, państwa Glinków tylko co niewidać, a nie chciałbym żeby zmiarkowali cośmy z sobą mówili — obetrzyj oczy, smutek zamknij w sobie, i bądź jak byłaś śmiała do nich w rozmowie.

Zosia. Dobrze ojcze, będę się starać.

Błażej. Pójdźmy do izby.

Zosia (z westchnieniem). Dobrze mój ojcze pójdźmy! (wchodzą do pomieszkania).

SCENA V.

Barbara, Bruzda, Michał — później Janek.

Barbara (wchodząc). Grzęda pewnikiem jest w domu, ale do rozmowy z nim nie ma już czasu...

Bruzda. Krótko więc mówiąc...

Barbara. Tak, krótko mówiąc, wpadniemy do niego tylko na powitanie, żeby Michała poznał.

Michał. Akceptuję moja ciotko.

Barbara. A jutro upatrzę wolny czas, bo dziś na Maszkarach...

Janek (wbiegając). Już idą państwo ze dwora — (wpada do domu).

Barbara. Otóż znowu przeszkoda, ale żebyśmy nie byli komu zawadą, stańmy sobie na boku —(wychodzą po za płot ogrodu).

SCENA VI.

Błażej i Zosia wychodzą z domu i jednocześnie Glinka, Glinkowa i Władysław, wchodzą na scenę od drogi.

Glinka. Otóż jesteśmy mój sąsiedzie punktualnie na godzinę przez was oznaczoną.

Błażej. Dziękuję wielmożnym państwu.

Glinkowa. Witam was panie Błażeju, jak się masz Zosieńko. Cóż głowy nie przepaliłaś sobie?

Zosia (całując Glinkową w rękę). Upał był wielki, ale w kapeluszu tak ogromnym...

Błażej. Ej! proszę wielmożnych państwa, na wsi to ludzie na wszystko wytrzymali.

(Kasia z Jankiem niosą krzesło i deski).

Glinka. Jak się masz Janku?

Glinkowa. Jak się masz Kasiu?

(Janek z Kasią witają Glinków — Władysław zbliża się do Zosi i po powitaniu bardzo serdecznem rozmawia z nią na boku).

Glinka (do Janka i Zosi). A kiedyż nas zaprosicie na wesele?

Janek (z uśmiechem). Jabym rad choćby i dziś.

Kasia. Gospodarskiej córce wprzód wypada.

Glinka. Masz Kasiu słuszność.

Błażej (wesoło). Lepiej nie czekajcie bo to powiadają, że jedynej Zosi nie prędko u ojca wyprosi, a ona jedyna i nie dam jej łatwo..!

Glinka Bardzo dobrze mój sąsiedzie tak ładna dziewczka jak Zosia, godna żeby się z nią drożono

(nachyla się do Błażeja). Już my ją wyswatamy zostawcie to naszej troskliwości...

Błażej. Bóg zapłać ale z Grzędziankami, nigdy ojców głowy nie bolały, i brano je nie ze swatów tylko zawsze z wielkiej prośby.

Glinka. Wiem to dobrze mój sąsiedzie.

Błażej (podsuwając się ku ławce). Niechże wielmożni państwo się nie trudzą (ustawia krzesło i razem z Jankiem i Kasią okrywa siedzenia dywanikiem.

Glinkowa (do męża). Zwróć uwagę Władysława, że takie zajmowanie się Zosią...

Glinka. Bądź spokojna, szał młodości, przejdzie jak przyszedł.

Błażej. To krzesło dla samej pani, nie będzie z wielką wygodą, ale...

Glinkowa. Bądźcie spokojni panie Błażeju — (siada) — bardzo wygodnie.

(Kasia wybiega do domu).

Glinka. A my sąsiedzie, to starym obyczajem, przy sobie na ławce siądziemy.

Błażej. Tak pono wypada.

Glinka (siada). Siadajmy więc, mamy sądzić ludzkie zażalenia.

Błażej. Nie braknie ich w dzisiejszych Maszkarach, bo ludzi zjechało się dosyć.

(Zosia z Kasią i Jankiem wnoszą na talerzach miód topiony, bułki, masło, butelki z miodem, szklaneczki różnej wielkości i wszystko to ustawiają na stole przed siedzącymi).

Glinka. Ho — ho! Mój sąsiedzie i o traktamencie widzę niezapomniałeś.

Błażej. Proste wszystko ale z domowego starunku, a ludzie powiadają: Chleb z solą, byle z dobrą wolą.

Glinka. To prawda sąsiedzie.

Błażej. A równie o chleb taki bardzo trudno.

(Glinka spogląda bacznie na Błażeja i żonę).

Błażej (częstując). Niechże państwo nie gardzą, proszę, bardzo proszę.

Glinka. A to widzę miodek w butelkach.

Błażej. Z własnych pszczół, nie kupny.

Glinkowa. Zosia, to dobra gosposia, (przygląda się talerzowi. Zosia rozdaje miód w kieliszkach).

Błażej. Brakło mi też jej bardzo w domu...

Glinka. Ale przecież nie zabierzecie nam jej na zawsze?

Glinkowa. A niech Bóg broni, Zosia opuściła nas tylko chwilowo.

Błażej. Dziękuję za życzliwość, ale ja sam, to radbym każdej chwili mieć dziecko przy sobie...

Glinka. Wierzę, bardzo wierzę, mój sąsiedzie... (ściska mu rękę, Glinkowa ściska rękę Zosi, a ta całuje ją).

Glinka. Teraz wypijmy zdrowie naszego zacnego sąsiada Grzędy i naszej starej przyjaźni od pradziadów i ojców. Niech nam żyje w długie lata!

(Powstają wszyscy, trącają się kieliszkami i powtarzają: Niech nam żyje w długie lata!)

Władysław. Ze mną ojcze Błażeju (podsuwa kieliszek, trąca się z Grzędą, staje przy Zosi, która zdaje mu się dziękować za takie uczczenie ojca. Niespokojne poruszenie Glinkowej).

Błażej (rozrzewniony). Bóg zapłać! Państwo tak dobrzy, tak życzliwi...

Glinka. Czyż moglibyśmy was nie szanować?

Błażej. To też lękam się...

(Wrzawa, śmiechy, śpiewy, gra na skrzypcach, które przez całą tę scenę dawały się słyszeć w oddaleniu, zwiększając się stopniowo. Nagle wbiega Śmieszek w dużym z papieru kapeluszu stosowanym z ogromnemi piórami, także z papieru; ubrany obcisło różnobarwnie, ze szpicrutą w ręku i trzaska nią głośno).

(d. n).

Czego pragnę.

Pragnę najprzód wielbić Boga,
Potem kochać wszechświat cały,
Ludzi wszystkich, nawet wroga,
I mej myśli ideały.
Pragnę także kochać kwiaty
Które wieńczą tę krainę,
Gdzie ulata duch skrzydlaty,
W wieczorną marzeń godzinę.
I chcę też kochać cierpienie,
Łzę co często pali oko,
I ciche smutku westchnienie,
Co unosi pierś wysoko.
Nie dość kochać świat widomy
Pragnę jeszcze kochać szałem,
I przez srogie życia gromy,
Iść za serca ideałem.

Eliza R.

Literatura zagraniczna.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

IV.

Venus.

Po Merkurym, najbliższą Słońca jest planeta Wenus; mieści się więc między Merkurym a Ziemią, ponieważ jest on pierwszą a Ziemia trzecią prowincyą wielkiej rzeczypospolitej słonecznej. Wenus opisuje swą drogę w odległości 26,760,000 mil od Słońca.

Dla nas Wenus jest najświetniejszą z gwiazd Nieba. Równie jak Merkury pozostaje zawsze w pobliżu Słońca i nadzwyczaj silnie odbija jego światło, może jednak więcej niż Merkury oddalać się od niego. Gdy się znajduje w połowie swej drogi około Słońca, ukazuje się rano na wschodzie przed jego wschodem, uprzedzając go o jedną, dwie lub trzy godzin, stosunkowo do swej kątowej odległości. Gdy zaś znajduje się w połowie swej drogi po za Słońcem, ukazuje się o zmroku wieczorem na zachodzie. Jakże to długich trzeba było badań i obserwacyi, zanim zdołano się przekonać że to jest jedna i ta sama gwiazda. Wenus odbywa bieg swój około Słońca w przeciągu 224 dni, 16 godzin, 49 minut i 8 sekund, w tymże samym kierunku co i Ziemia. Tak więc rok ma tam tylko siedm i pół miesiąca. Długość jej drogi około Słońca wynosi 168 milionów mil, a że opisuje ją w 224 dniach, zatem przebywa dziennie 750,000 mil, czyli 34,600 metrów na sekundę. Widzimy więc że bieg jej jest nieco wolniejszy niż Merkurego. Jest to *jedyna gwiazda* którą gołem okiem można dojrzeć w południe.

Powierzchnia Wenus równa się prawie powierzchni Ziemi, i żaden inny planeta nie przedstawia tyle podobieństwa z naszym światem. Ciężkość tej planety jest mniejsza niż Ziemi; jeźli przedstawimy masę Ziemi przez liczbę 1,000, dla Wenus wypadnie 787. Znając objętość (09) można z niej wnioskować o *gęstości* składających ją materyałów: otóż *gęstość* ta jest nieco słabszą jak naszej półkuli. *Ciężkość* ciał jest także *mniejsza* niż na Ziemi, a (przypuszczalni) mieszkańcy lżejsi od nas. Z tego przekonywamy się że dwa te światy, Wenus i Ziemia są nadzwyczaj zbliżone do siebie tak przez żywioły astronomiczne jak przez swe położenie w układzie słonecznym.

Dokładne obserwacye Wenus wykazały na jej powierzchni znaczne nierówności, wytworzone przez nadzwyczaj wysokie łańcuchy gór, daleko wyższych niż nasze Andy lub Kordeliery.

Przed niezbyt dawnemi jeszcze laty, można było wątpić o istnieniu atmosfery na Wenus, dziś astronomowie posiedli już niezbite dowody, zupełnego podobieństwa tego świata z naszym. Nietylko wiadomo już że atmosfera ta istnieje, ale zmierzono jej siłę, gęstość, a nawet jej układ fizyczny i chemiczny.

Tak więc 1) Wenus jest niezaprzeczenie otoczona atmosferą; 2) atmosfera ta jest znacznie, może nawet dwa razy gęściejsza jak nasza; 3) składa się z gazu który zdaje się odpowiada mieszaninie z jakiej składa się powietrze którem oddychamy; 4) w atmosferze tej unosi się bardzo wiele chmur. Fizycznie i chemicznie, powietrze tej planety nie wiele różni się od naszego; jest więcej napojone parą wodną, a zmiany temperatury powodują tam chmury, prądy atmosferyczne, wichry, deszcze, słowem stan meteorologiczny nadzwyczaj podobny do naszego.

Tak więc widzimy że Wenus przedstawia nader wybitne cechy podobieństwa z naszym światem: taż sama prawie objętość, waga, taż sama gęstość na powierzchni; jednakowa długość dnia i nocy; jednakowa atmosfera, chmury i deszcze; lata, pory i układ geologiczny nie przedstawiają także bardzo wybitnych różnic, słowem żaden planeta nie ma tyle podobieństwa z Ziemią co Wenus. Gdyby jeszcze, (jak utrzymywali niektórzy astronomowie) Wenus miała swego satelitę, nie znalazłby w całym Wszechświecie innych dwóch światów równie do siebie podobnych.

Pomimo to nie można wnosić że Wenus jest zupełnie taką jak świat przez nas zamieszkany, że znajdują się tam takież same krajobrazy, morza, wybrzeża, przyroda, rośliny, zwierzęta i takaż sama ludzkość, zachodzą główne różnice, szczególniej pod względem meteorologicznym.

Na Wenus, średnica Słońca jest o jedną trzecią szersza niż na Ziemi, a pozorna powierzchnia której odpowiada ilość ciepła i światła, jest względem naszej jak 16 do 9-ciu. W porównaniu z naszem, Słońce takie, spaliłoby okolice podrównikowe, gdyby istniało tam życie takie jak u nas, lecz któż wie czy strefy umiarkowane nie cieszą się tam klimatem odpowiednim panującemu w naszych krainach tropikalnych, czy okolice północne nie równają się naszym strefom umiarkowanym i czy nie są może właśnie miejscem pobytu najczynniejszych i najwięcej przedsiębierczych plemion tej planety?

I takby rzeczywiście być mogło, gdyby pory roku na tym planecie były równe naszym, to jest gdyby jej oś obrotowa rownie jak nasza była pochylona na planie swej drogi, ale najnowsze obserwacye pokazały że pochylenie to bardzo się różni, i to jest powodem wielkich zawikłań w rozkładzie temperatury i klimatów na powierzchni Wenus. Pory roku są tam silniejsze ale szybsze niż nasze, każda trwa tylko 56 dni.

Wszyscy mieszkańcy okolic zbliżonych do jednego lub drugiego bieguna, zawsze wystawieni są naprzemian na najgwałtowniejsze upały lub mrozy, i bez zaprzeczenia żadna ze znanych nam ras ludzkich nie zdołałaby wytrzymać tego z kolei następującego po sobie strasznego gorąca i zimna.

Badania geograficzne dokonywane przez najznako

mitszych przyrodników i astronomów wykazują: że na Wenus morza ciągną się głównie wzdłuż równika i są raczej śródziemne niż rozległe oceany; wpływ tych wód miarkuje nadzwyczajne upały i zimna i zdaje się że na wybrzeżach tych mórz wewnętrznych, muszą zamieszkiwać ludy największą na tej planecie cieszące się pomyślnością. Na tych morzach nie mają miejsca przypływy i odpływy, bo nie ma żadnego powodującego je księżyca, a przyciąganie słoneczne sprawia tylko słabe przypływy dzienne, ale fale są równie jak nasze wzburzone wichrami, i zdaje się że działanie światła i cieni musi tam wytwarzać podobne naszym lądowe i morskie krajobrazy.

Rasa rozumna, przodująca umysłowością i w którą wcieliła się dusza rozumna, zapewnie kształtami różni się tem od nas, jednak ponieważ siła ciężkości jest na Wenus taka sama jak na Ziemi, a oddychanie i tam główną odgrywa rolę, zatem ludzie tej planety mniej niż ludność zamieszkująca inne, może różnić się od nas. Największa zachodzi różnica co do klimatu, ale wszak i na Ziemi klimata bywają tak odmienne, że nie wierzylibyśmy iż pewne okolice zwrotnikowe lub północne mogą być zamieszkane, gdyby odbyte podróże nie przekonywały nas o tem. Wszak ludzie zamieszkali w strefach podzwrotnikowych nie mogą się zaaklimatyzować w północnych i odwrotnie, a cóż dopiero jeźli się zwrócimy do tak różnorodnych rodzai zwierząt i istot żyjących, rozwijających się już to w temperaturze wody wrzącej już lodu. Zastanowiwszy się nad tem łatwo możemy wyobrazić sobie że i na Wenus życie istnieć może, tylko że musi znosić gwałtowniejsze gorąca i mrozy.

Nie wielka także zachodzić musi różnica fizyologiczna między Wenus a Ziemią, a ludzkość zamieszkująca tę planetę, musi zapewnie przedstawiać wielkie z nami podobieństwo fizyczne a nawet moralne. Można jednak wnosić: iż ponieważ Wenus zrodziła się później niż Ziemia, zatem i ludzkość jej jest późniejsza, a ludy muszą jeszcze być w wieku kamienia, lecz są to tylko domysły, gdyż zmiany paleontologiczne mogły tam odbywać się inaczej jak u nas.

W ogóle przypuszczać należy że *życie na Wenus mało musi różnić się od ziemskiego*, a ludzie, choć organizacya ich znacznie jest odmienna, mogą być nam podobni kształtem i postawą.

„Wszelki wniosek odnoszący się do bytu i sposobu życia innych planet, wydaje się śmiesznym i zuchwałym, tym co przywykli zamykać się w ciasnych szrankach klasycyzmu, mówi Flammarion. Jeźli powiemy np. że być może iż mieszkańcy Wenus latają w swej atmosferze i dla uniknienia gwałtownych zmian jakie tam zachodzą między latem a zimą, odlatują w jesieni z jednej półkuli na drugą a powracają na wiosnę, wniosek ten, nie mający w sobie nic niedorzecznego ani rażącego, wyda im się szalonym i śmiesznym. Czemu? bo nie chcą zadać sobie trudu rozważenia co się na Ziemi w około nich dzieje. Wszak corocznie ptaki nasze opuszczają zimne strefy i do cieplejszych odlatują krajów, a z wiosną wracają do swoich opuszczonych gniazd, i czemużby ten przywilej jakim u nas obdarzone są podrzędne stworzenia, nie miał przysługiwać ludziom zamieszkującym inne planety?“

Konstelacye i planety przedstawiają się na Wenus tak samo jak na Merkurym, ale najświetniejszemi dla nich jest z jednej strony Ziemia z drugiej Merkury.

Ziemia widziana z Wenus przedstawia najwspanialszy widok jaki można widzieć w całym układzie słonecznym; blaskiem swym przewyższa najświetniejsze gwiazdy i dla takiego jak nasz wzroku, przedstawiałaby wyraźną tarczę. Tarcza ta zmienia barwę odnośnie do obrotu kuli ziemskiej około swej osi, tak więc mieszkańcy Wenus mogliby dojrzeć gołem okiem obrót Ziemi w czasie nie wiele różniącym się od obrotu ich świata. Jednocześnie musi tam być widzialny Księżyc towarzyszący gwiaździe Ziemi w jej biegu, i obracający się w koło niej w przeciągu 27 dni.

Jeźli mieszkańcy Wenus równie jak my wyobrażali sobie że świat ich jest centrum Wszechświata, mogli prędzej od nas rozpoznać prawdziwy układ świata, ponieważ nieustannie mają przed sobą miniaturowy jego obraz, w porze jaką Ziemia i Księżyc tworzą dla nich na niebie, oraz w miesięcznym obrocie Febusa około Cybelli.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu

Sezon londyński. — Uroczystość w Coventry. — Skandaliczne wydawnictwo. — Mieszkania dla biednych wyrobników z funduszu Peabody'ego. — Wyrób i handel obrączkami ślubnemi. — Fabryki maszyn do szycia. — Zjazdy duchowieństwa protestanckiego. — Stowarzyszenie odrodzenia złodziei przez pracę. — Meetingi w kwestyi przyznania kobietom prawa głosowania. — *Shakespeare'a Memorial.* — Wystawa pamiątek i konkurs na pomnik i posąg Byrona. — Wystawy malarstwa. — Ouida i jej powieści włoskie.

(Dalszy ciąg).

Z powieściopisarzy najwięcej może ma obecnie zwolenników Ouida, a włoskie jej powieści i za Alpami wielkiem cieszą się powodzeniem.

Panna de la Ramée, gdyż takie jest prawdziwe nazwisko znakomitej autorki angielskiej piszącej pod pseudonimem Ouida, od lat kilku zamieszkała w okolicach Florencyi, w willi Farinola. Jest to starożytny i wspaniały pałac położony wśród winnic i pagórków kąpiących się w wodach Grewy. Z tarasu przed fasadą rozległy roztacza się widok na Val di Pesa, klasztor Certosa, Val d'Arno i wierzchołki gór Carrara o każdej dnia godzinie inną przybierające barwę.

Wszedłszy z tarasu do przedsionka willi ozdobionego kwiatami, posągami i popiersiami dawnych właścicieli, postrzegamy najpierw dawną salę bankietową zamienioną obecnie na bilardową; sala ta wznosi się przez całą wysokość pałacu. W około ciągnie się szeroka galerya komunikująca z pokojami piętra wyższych. Po za tą salą jest sala balowa; jej blado zielone ściany pokryte są białemi płaskorzeźbami; okna tej sali wychodzą na prześliczny ogród. Na lewo z przedsionka wchodzi się do pokoju zwanego pokojem miniatur, w którym, obok znacznej liczby portretów, ustawione są wszelkie przedmiota sztuki nagromadzone przez pannę de la Ramée, podczas jej kilkoletniego pobytu we Włoszech. Po nad oknami roztaczają swe szerokie skrzydła dwa orły złote, które należały kiedyś do Napoleona 1-go, umeblowanie jest w stylu Ludwika XV. Z przeciwnej strony znajduje się pracownia Ouidy, w której na wielkiem biórku weneckiem leżą porozkładane rękopisma i książki, a na ścianach i stalugach różne obrazy, gdyż utalentowana powieściopisarka jest także i malarzem. Z tej pracowni wchodzi się do sali jadalnej, zapchanej starożytną porcelaną i kwiatami które Ouida lubi namiętnie i wszędzie rozstawia. Na pierwszem piętrze jest kaplica, wielka sala sklepiona, kuchnie, śpiżarnie i różne pokoje gościnne i dla służby. Obok tego są jeszcze dwa inne piętra, gdyż pałac jest tak wielki iż możnaby postawić w nim dwie dywizye wojska. W prześlicznym ogrodzie pełnym najcudniejszych kwiatów i gajów cytrynowych i pomarańczowych, szmer przezroczystych wód miesza się z rozkoszną wonią kwiatów, oto w jak uroczem miejscu zamieszkała słynna autorka. Przebywając tak długo we Włoszech, mogła zbadać gruntownie charakter i obyczaje otaczającego ją ludu, to też Włosi przyznają że po Manzoni'm i Massimo d'Azeglio nikt tak wiernie nie malował obyczajów kraju kwiatów i słońca. Do najlepszych utworów Ouida zaliczają się cztery jej romanse włoskie p. t. *Pascarel* by Ouida, 2 vol. *Signa* 3 vol. *Ariadné*, 2 vol. *In a Winter City*, 1 vol. Przejrzmy je z kolei.

Signa jest to zrujnowane miasto starożytnej Etruryi, miejsce ulubionych wycieczek autorki, niegdyś zamożne, świetne, obronne, dziś mury się rozsypały, fortece zamieniono w folwarki, a uboga ludność trudni się wyplataniem ze słomki. Ale *Signa* nietylko jest nazwą umarłego miasta Toskanii, jest to także imię młodego człowieka, genialnego artysty, a opis dziecięcych i młodocianych lat jego zajmuje cały pierwszy, najlepszy z trzech tomów romansu. Signa nie zna swego pochodzenia; raz podczas wylewu wód znaleziony był na polu zagrożonem zalaniem, przy zlodowaciałych piersiach biednej kobiety, przez dwóch braci, Bruna i Lippo Marcillo, gdy szli zabezpieczyć swoje trzody. Było to w nocy; przy świetle latarek dostrzegli coś leżącego w poprzek drogi; zbliżyli się i zobaczyli postać kobiecą. Widać upadając uderzyła głową o leżący wielki kamień i zabiła się na miejscu. Twarz zwrócona była ku niebu a na skostniałych rękach trzymała małe dziecię. Jeden z braci wziął dziecko, drugi daremnie starał się przywołać matkę jego do życia. Ach! jak ona podobna do Pepity! zawołał nareszcie z przerażeniem. Młodszy pochylił ku niej latarkę i odrzekł zwolna: A tak, bardzo, bardzo podobna.

Nastała chwila milczenia.

— Ach! to niezawodnie Pepita, powtórzył starszy, i drżał cały dotykając się zlodowaciałego ciała. Patrz ta blizna pod lewą piersią... poznaję ją... to ślad ciosu jaki jej zadałem wówczas... w dniu jarmarku... pamiętasz?

Aby nie być posądzonym o zabójstwo siostry którą Bruno ścigał dawniej nieubłaganą zemstą, pozostawiają martwe wzłoki które niezadługo fala uniesie daleko, ale co zrobić z dzieckiem? Bruno jest kawalerem i nieumiałby sobie z niem dać rady, a Lippo, młodszy, młodo bardzo się ożenił i ma liczną rodzinę. Lippo mieszka u teścia, jest niby łagodny ale próżniak, Bruno surowy i szorstki ale pracowity. Owładnięty jakiemiś wyrzutami sumienia i nagle budzącem się uczuciem dla sieroty, przyrzeka oddawać bratu połowę całego swego zarobku, byle żona jego przygarnęła i wychowywała dziecinę której nadano nazwisko *Signa* ponieważ ta nazwa ojczyzny matki wypisana była na prostym mosiężnym medaliku zawieszonym na jego szyi.

Młoda Pepita, ognista i namiętna *contadine* dała się opanować namiętności która ją zgubiła. Nie lubiła cichego życia domowego i zajęć gospodarskich, goniła za tańcem, uciechami i strojem, wyzywała hołdy mężczyzn a Bruno wcale nie skrupulatny dla siebie, ale pod względem skromności wiele bardzo wymagający od kobiet, raz za w gruncie niewinne jeszcze wybryki, pchnął ją nożem, wtedy Pepita uciekła z domu i nikt nie wiedział co się z nią stało. Wiele osób twierdziło że widywano ją często w towarzystwie młodego jakiegoś cudzoziemca artysty, ale nie umiano powiedzieć czy z nim i dla niego uciekła. Tu rozwija się zwykła historya; przez trzy miesiące jest kochana i opływa w dostatki, potem

porzucona. Zarówno jak bohaterka *Dwóch małych trzewiczków* Pepita goni pa niewiernym i nigdzie go spotkać niemoże. Dowiedziała się nareszcie że jest w Rzymie, idzie więc tam, idzie... aż pada bez życia o parę kroków od swej rodzinnej wioski. Odtąd mieszają się nieustannie z niezrównanym wdziękiem opisane, dzieje i legenda starego miasta, i dzieje Signa sieroty. Signa rośnie i staje się ślicznem, poetycznem bambino, a Ouida tak doskonale umie przedstawiać dzieci naznaczone do wyższych przeznaczeń. Chytry i chciwy Lippo, i gburowata i zła żona jego Nita, znęcają się nad chłopczyną, a ten nie wspomina nic o tem swemu dobremu przyjacielowi Brunonowi, z obawy aby go nie pomścił zbyt srogo. Chłopczyna przepada za muzyką i uczy jej się od wędrownego muzyka Luigi Dini, który przebywając długo przy teatrach mało-miasteczkowych, powrócił nareszcie do rodzinnego miasta i pełni tu obowiązki organisty i zakrystyana zarazem.

Bruno ślepo przywiązał się do sieroty, jakiemś dzikiem strasznem prawie uczuciem bezgranicznego poświęcenia

Widocznie autorka zamierzyła sobie przedstawić w tych dwóch braciach dwa główne typy ludu włoskiego z tych okolic: w jednym potomka dawnego rodu rolników, powstałych z żołnierzy, wieśniaka rasowego, w drugim wyrodzonego potomka tejże rasy, urodzonego z mezaliansu z wyrobnicą z małego miasteczka. która przekazała potomkowi swemu niedbalstwo i nieradność kryjące się pod płaszczykiem łagodności, słówka złote ale fałszywe, zdradną nieśmiałość pod którą kryje się chytrość i podstęp. Obaj bracia są zarówno nieokrzesani; religijne poczucie Brunona ogranicza się do zawieszenia nad drzwiami świętego jakiegoś obrazka, mającego być dlań talizmanem szczęścia, a zasady polityczne zamykają się w ślepej nienawiści dla nakładających i wybierających podatki. Lippo jest chytry, podstępny, potrafi rzucić potwarz i uśmiechać się temu kogo nienawidzi. I jak się to często zdarza zły lepszej używa opinii, Brunona wszyscy się boją. Jeden tylko Signa umie właściwie ich oceniać; gdy jest przy Brunonie piękne jego skłonności rozwijają się jak kwiaty po deszczu. Przy Brunonie, Signa czuje się szczęśliwym i dobrym, serce jego rozpływa się pod ciepłym promieniem pobłażliwej miłości; u Brunona całe godziny gra i śpiewa na darowanej mu przez tegoż mandolinie; z ogrodu Brunona zrywa piękne owoce dla swojej ukochanej małej Gemmy (Dżemmy) o którą bardzo jest zazdrośny, bo Signa nie umie ani słabo kochać ani słabo nienawidzieć. Ach! gdybyż był Bruno mógł przewidzieć i zerwać wszelkie stosunki przybranego syna z tą fatalną Gemmą, która już w zaraniu życia, pomimo swej twarzyczki *d'amorino* i jasno-złocistych włosów, jest kłamliwa, samolubna i okrutna.

I tak wracając raz z ogrodu Brunona, Signa przynosi dla Gemmy piękne wiśnie; wchodzi do biednego domku jej ojca ogrodnika Zanobetto, gdzie w małem łóżeczku śpią na sianie dziewczynki: widać im tylko główki i same czubki małych różowych nóżek. Signa zbliżył się cichutko, wisienką dotknął twarzyczki jasnowłosej dziewczynki i śmieje się widząc jak przestraszona zaraz otworzyła swe wielkie niebieskie oczy.

— Patrz, ci przynoszę, Gemmo. I chciał ją pocałować, ale odepchnęła go, jej nie chodzi o pieszczoty ale o podarek.

— Dawaj prędzej! zawołała, wychylając główkę przyprószoną sianem i drobnem rozruconem w niem kwieciem, jeźli nie zjem prędko Palma się obudzi i będę musiała się z nią podzielić. I zajadała chciwie. Gdy już zjadła siostrzyczka obudziła się i opierając się na łokciu: Ach! Signa! zawołała pieszczonym głosem.

— Ach! odrzekł z odcieniem smutku, a ja nie zostawiłem dla ciebie wisien.

Posmutniała trochę, ale, wnet zawołała: Mniejsza o to, tylko mnie uściskaj! Uściskał ją ale zaraz powrócił do Gemmy, biedna Palma westchnęła...

Signa kocha obiedwie dziewczynki, wychował się prawie z niemi gdyż mieszkają w sąsiednim domku, ale Gemma stokroć piękniejsza a on tak łaknie piękna, więc kocha ją jakoś inaczej, goręcej. A potem jest przekonany że Palma go kocha a serca Gemmy nigdy nie jest pewny... Gemma pomimo szlachetnych jego skłonności umie zniewolić go do nagannych czynów, nie raz już ukradł gdzieś z ogrodu owoc którego jej się zażądało.

Wszystkie te i tym podobne dziecinne sceny opisane są z niezrównanym talentem i wdziękiem; czytelnikowi trudno oderwać się od nich.

Pewnego dnia Signa ujrzał u ślusarza Tonino, skrzypce które tenże zatrzymał za nieuiszczone komorne, on czuł w duszy takie porywy natchnienia. taka muzyka śpiewała w jego sercu i głowie, gdyby miał te skrzypce mógłby ją przelać na zewnątrz! Ale Tonino żąda za skrzypce 40 franków, skądże wziąść tak wielkiej sumy! Szczęśliwy wypadek zdarzył że raz gdy Bruno zaprowadził go do klasztoru Certosa, piękność chłopca uderzyła będącego tam artystę, prosił aby pozował i dał mu za to dwie sztuki złota. Był to młody jeszcze a już sławny malarz, nazwiskiem Istried. Czytelnik odgaduje że to ów niewierny kochanek Pepity, tak więc nie wiedząc o tem Signa spotkał się z ojcem od którego dostał złoty klucz mający roztworzyć mu podwoje sztuki, gdyż nabył zań upragnione skrzypce. Lippo i żona jego wpadają w wściekłość dowiedziawszy się o takiem marnotrawstwie; aby uniknąć obicia Signa postanowił uciec ze swoim „drewnianym słowikiem" i jednej tylko Gemmie powiedział o tem. Pójdę z tobą! zawołała. Signa aż się rozpłakał z rozczulenia, biorąc to za dowód przywiązania, gdy tymczasem sprzykrzywszy sobie czarny chleb, łachmany i biedny domek rodziny, Gemma umyśliła tylko probować szczęścia po świecie. Zresztą Signa powiedział jej że usłyszawszy go śpiewającym, malarz Istriel powiedział mu iż za każdą nutę, za każdy ton, będzie mógł zbierać góry złota, i dodał:

— Wszystko to złoto oddam tobie, Gemmo. A ona tak pragnie złota i wszystkiego co ono dać może, i dla tego poszła z Signem.

(d. n).

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w czwartym kwartale r. b., wychodzić będą pod temi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swej użyteczności, zrobić przystępną dla każdej rodziny.

Adres do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie ulica Elektoralna Nr. 779 (41 nowy).**

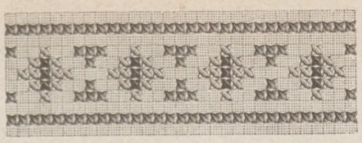
Odpowiedzi od Redakcyi.

Pa: P. R. Z wierszyków łaskawie nadesłanych, *Do jaskółki* zamieszczony zostanie w Przyjacielu Dzieci. W dwóch innych brak formy prawdziwie poetycznej.

Pani M. K. w Humaniu. Numerów żadnych nie ma w Redakcyi, gdyż pismo nasze za pierwsze półrocze w całości wyczerpane zostało. Odpowiedź spóźniona gdyż list choć w Czerwcu jeszcze pisany, teraz dopiero doszedł do Redakcyi.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

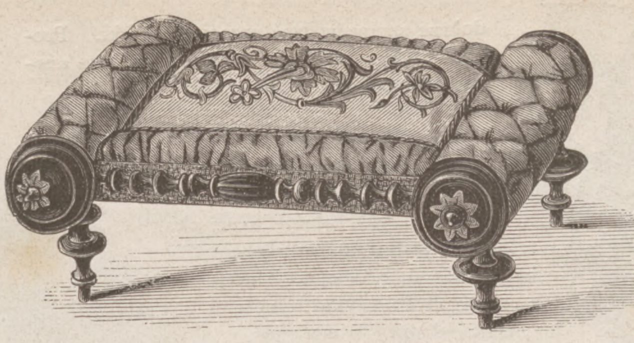
ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 18 (30) Сентября 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).



N. 1. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

Opis do N. 32.

(Dokończenie).



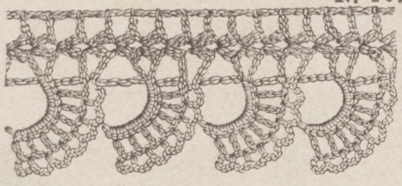
N. 10. Stołeczek pod nogi. Patrz ryc. 11.



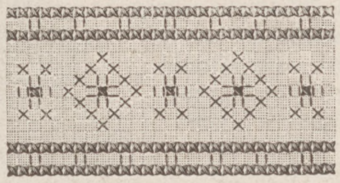
N. 2. Szlaczek wyszyty krzyżykami.

N. 24—25 i 36. Suknia z vêtement.

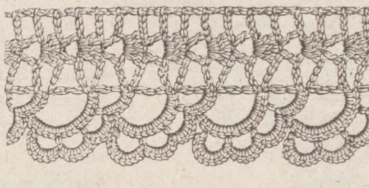
Vêtement takie dopasowywa się podług którejkolwiek z form princesse, jakie podaliśmy w Tygodniku, złożonej z przodów i z pleców (bez boczków); zapięcie może być urządzone z przodu jak na ryc. 36, lub z tyłu podług ryc. 24. Dla ułatwienia kroju podaliśmy na ryc. 25 całą



N. 4 Ząbki szydełkowe robione poprzecznie.



N. 3. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



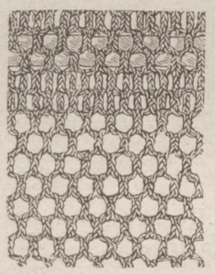
N. 5. Ząbki szydełkowe robione poprzecznie.



N. 6. Kaftanik męzki robiony fabrycznie. Patrz ryc. 7.

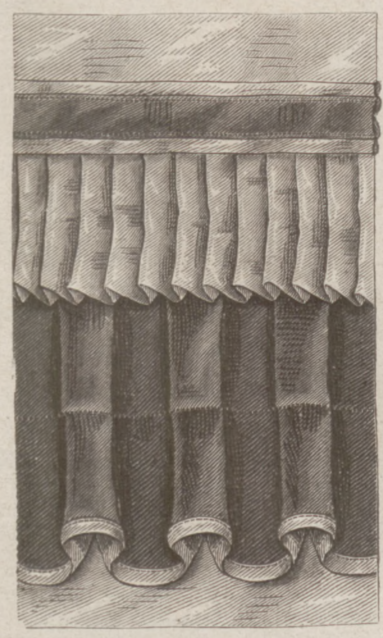
formę w maleńkim formacie, wypisaniem miar całkowitej długości i szerokości.

Lewy przód vêtement nadpuszczony u dołu na 32 cent. szerzej ścina się skośnie aż do wcięcia stanu i kraje o 33 cent. dłużej od prawego przypuszczając na podpięcie. Obie zwierzchnie części pleców zchodzą się lekko podpięte pod brytem spuszczonym od dwóch połówek środkowych, przefałdowanym jak na ryc. 14; fałdy oznaczone są krzyżykami i punktami na ryc. 25. Suknia załączona na ryc. 24 odszyta z alzackiego perkalu, żółtawego koloru, przybrana plisowanemi falbankami tudzież koronką niciana i wszywkami podwleczonemi wstążką kolorową.



N. 7. Tło ażurowe do ryc. 6.

N. 26—27 i 37. Suknia z vêtement skośno zapiętem.



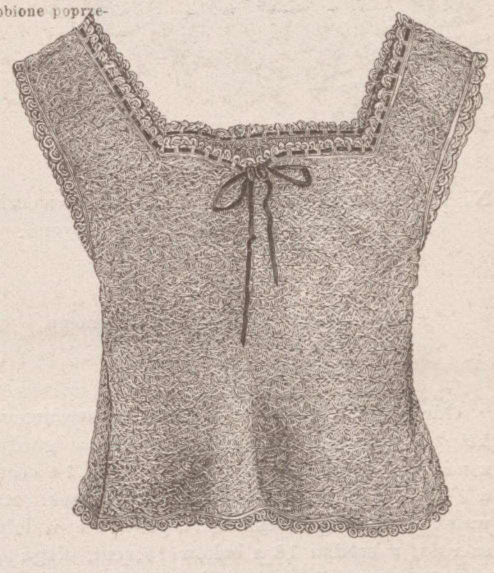
N. 12. Przybranie do sukni.

Ubranie przedstawione z przodu i z tyłu na ryc. 26 i 37 składa się z sukni bronzowej z materyi faille i z vêtement z materyału ażurowego koloru écru, przybranego szeroką koronką i kokardami. Krój dopasować trzeba podług ryc. 23 w N-rze 19, zaprowadzając potrzebne zmiany podług zmniejszonego formatu fig. 27. Jeden przód zachodzi aż do drugiego szwa pleców, kraje się u dołu zupełnie prosto, podług szerokości i długości wypisanej na ryc. 27; brzeg podcięty do skośnego zapięcia liczy 98—100; boczny brzeg przefałdowany jest 78 cent. długi.

Obie połowy pleców zszyte tylko w połowie długości z przodem (podług zmniejszonego formatu), drugi przód krótki i pierwsza część pleców dana z faille oszyta jest z brzegów koronką i upięta na wierzchu. Kokardy z tej co suknia materyi.



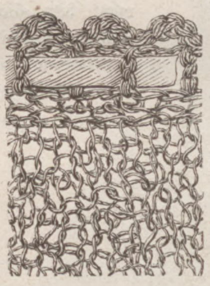
N. 11. Deseń haftu na burecie, do ryc. 10.



N. 8. Kaftanik damski robiony na drutach. Patrz ryc. 9.

N. 28. Szlak haftowany jedwabiami, do mebli, wałków i t. p.

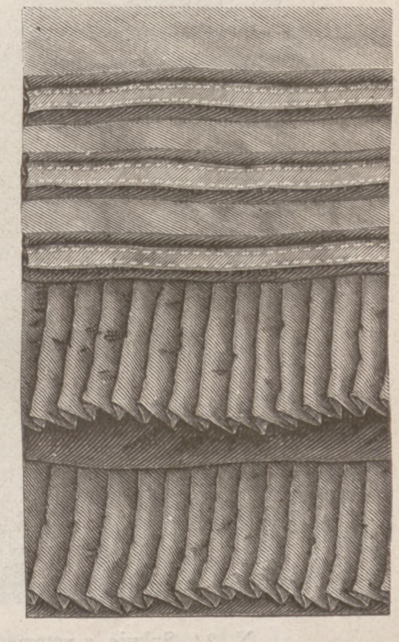
Tło szlaku który opisujemy stanowiło sukno popielate, deseń wyhaftowany był grubym jedwabiem ściegiem płaskim dzierganym i łańcuszkowym. Linije proste deseniu były niebieskie, a gałązki wijące się po nich różowe i zielone. W większym środkowym bukiecie kwiaty są różowe, niebieskie i lila z żółtemi środeczkami; listki zielone cieniowane.



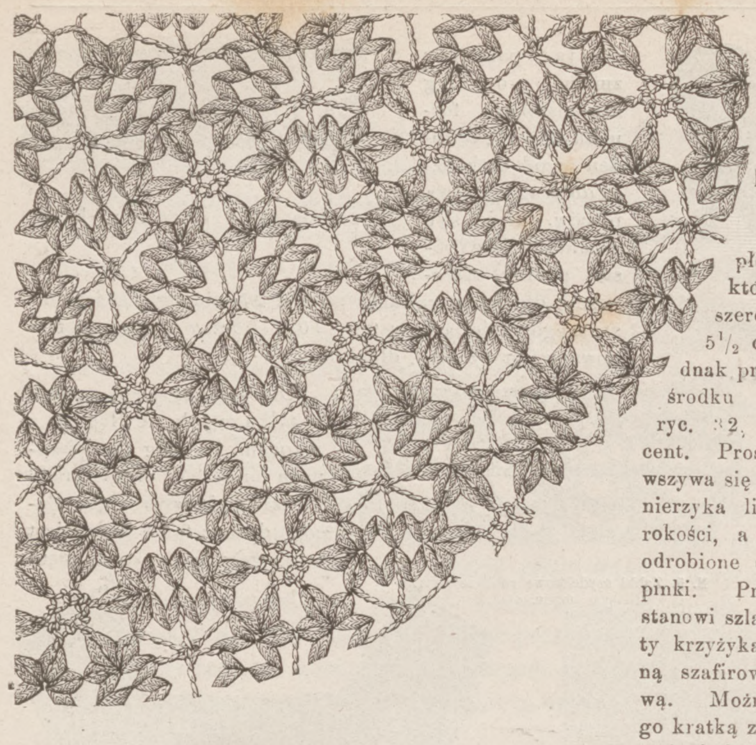
N. 9. Tło kaftanika ryc. 8. robione na drutach.

N. 29. Poduszeczka do igieł i szpilek.

Dwa kółka tekturowe po 6 cent. średnicy podwleczone kolorową materyą, w środku mają wszytą kolorową flanelkę do wpinania szpilek i igieł. Połączone są u dołu pod puklami z wstążki a za górne pukle można powiesić poduszeczkę na ramie toalety. Przyozdobienie zwierzchnie stanowi wyszycie kolorowym jedwabiem; samym brzegiem naszyty rząd friwolitek.



N. 13. Przybranie do sukni.



N. 14. Część tła gwiazdki ryc. 15, z tasiemeczki w ząbki spajanej pajączkami koronkowemi.

N. 30. Kieszonka do vétement.

Odrabia się z tego co suknia materyału; na modelu klapka górna przytwierdzona trzema guzikami była z materyi faille koloru sukni i liczyła 14 cent. długości a 5½ i 3 szerokości. Podstawę kieszonki stanowi kawałek sztywnego muślinu, u góry 14 u dołu 17 cent. szeroki, w środku 16 z boków 13 cent. długi; do pokrycia użyty kawałek materyału 27 cent. długi, 25 u góry 29 u dołu szeroki i zaokrąglony, który przemarszczony jest i podniesiony w bufę poniżej środka. Kokardy z wstążki 5½ cent. szerokiej.



N. 24. Suknia z vetement. Patrz ryc. 36 i 25.

N. 31. Kwadrat z siatki gipiurowej.

Jak to widać na ryc. 31 siatkowe tło kwadratu wycina się lub niknie pod dzierganiem, które powinno dobrze zamocowywać przecinane nitki. Proste kwadraty zapełnia kratka koronkowa a rozety składają się z pajączków.

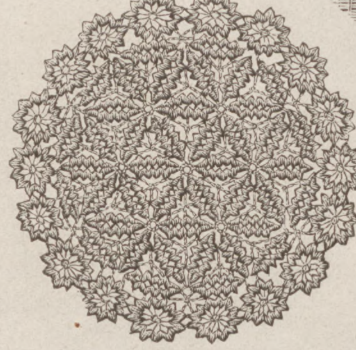
N. 32 — 34. Kołnierzyk wykładany.

Za materyał służy cieniutkie płótno, podłożone szyrtyngiem, które tnie się prosto po nitce; szerokość kołnierzyka wynosi 5½ cent., długą 50 cent. jednak przez złożenie z tyłu na środku kontrafałdy podług ryc. 32, skraca się do 38 cent. Prosty pasek w który wszywa się górny brzeg kołnierzyka liczy 2 cent. szerokości, a w końcach ma zrobione dziurki do zapinki. Przyozdobienie stanowi szlaczek wyszyty krzyżykami, bawełną szafirową i ponsową. Można zastąpić go kratką z wyciągniętych nitek, podług ryc. 34 podającej cały narożnik i gwiazdki w kwadracikach wyszyte kolorową bawełną. Rycina 22 w N-rze 37 załącza kwadracik siatkowy, który wszyć można w rogi kołnierzyka.

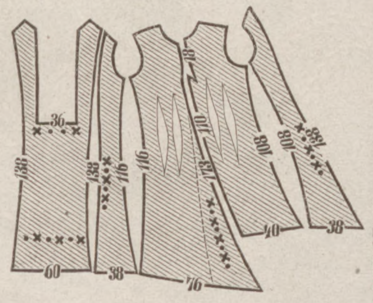
Przepisy kuchenne.

Gruszki staropolskie.

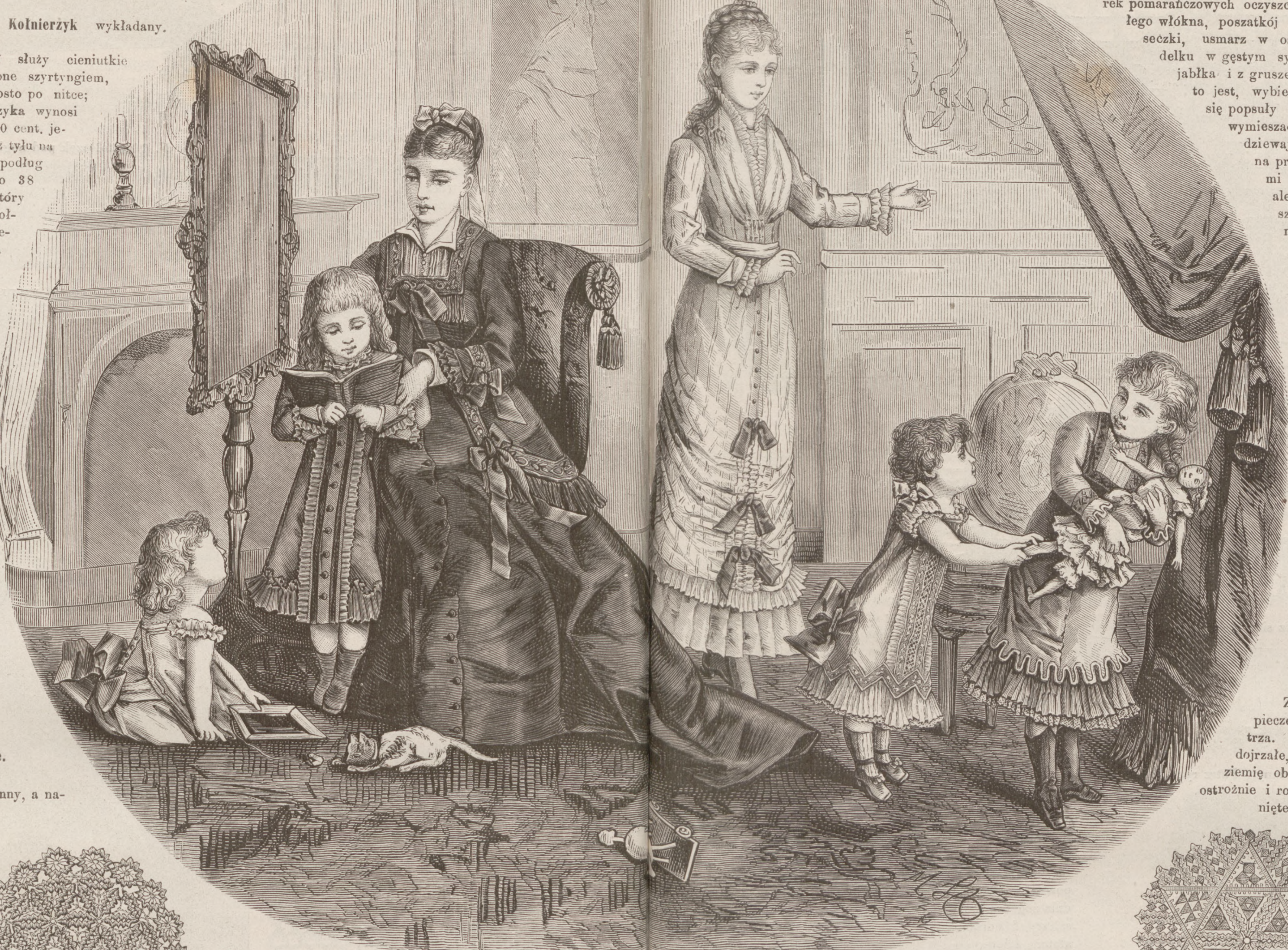
Bonkrety, tak zwane panny, a nawet różne inne jesienne lub zimowe gruszki, obraneze skóry i potarte o cytrynę lub w zimnej zanurzone wodzie, aby nie czerwieniały oczyszczone, wydrążone i przekrajane na połówki ogonków nie psując, rzucać na mocny syrop cukru, smażyć na szerokiej pokrywie czy płaskim rondelku, nie biorąc od razu wszystkiego syropu, ale w miarę odmieniania gruszek dolewać świeżego po łyżce. Gruszki wykładać na durszlak, osączyć należycie i układać na półmisek; równocześnie ugotój kilkanaście oczyszczonych jabłek osobno, kilka razy wodę odmieniając. Funt skórek pomarańczowych oczyszczonych z białego włókna, poszatkój w drobne paseczki, usmarz w osobnym rondelku w gęstym syropie, dołącz jabłka i z gruszek jakąś część to jest, wybierając te które się popsuły lub porozrywały, wymieszać razem masę, nadziewaj gruszki, układając na przetakach, lub papierami przykrytych blachach, susz ale tak wolno, żeby się to suszenie kilka razy powtarzać mogło. Najlepiej suszyć wolno przykryte z wierzchu papierem, bo najpiękniejsze są gruszki, gdy swego słomkowego koloru nie zamienią na ciemny. Skórka pomarańczowa jest najlepszą, gdy ją staranna gosposia zbiera ile razy się w domu używają pomarańcze; zaraz wykrawać białą powłokę, suszyć na słońcu i chować do słoika. Pozostały syrop można użyć na gotowanie innych gruszek suszonych na zimę lub też później jeszcze ten syrop wysadzony do gęstości powideł czyli galarety bardzo użyteczny w śpiżarni do nadziewania ciastek.



N. 15. Gwiazdka lub przykrycie na poduszeczkę. Patrz ryc. 14.



N. 25. Wskazanie kroju vetement ryc. 24.



N. 18. Ubranie małego dziecka.

N. 19. Sukieneczka princesse dla dziewczynki lat 5—7.

N. 20. Ubranie domowe.

N. 21. Suknia z bluzką długą tuniką dla młodej panienki.

N. 22. Sukieneczka princesse. Opis przy ryc. 16 w N. 37.

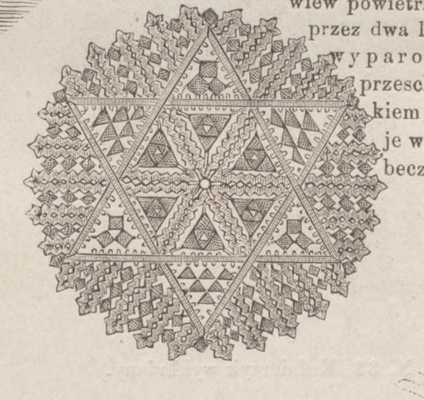
N. 23. Ubranie dla dziewczynki lat 7-9.



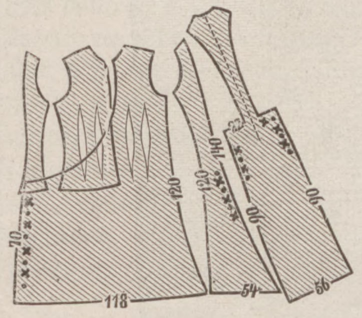
N. 28. Szlak haftowany jedwabiami, ściegiem dzierganym.

Przechowanie śliwek w stanie świeżości.

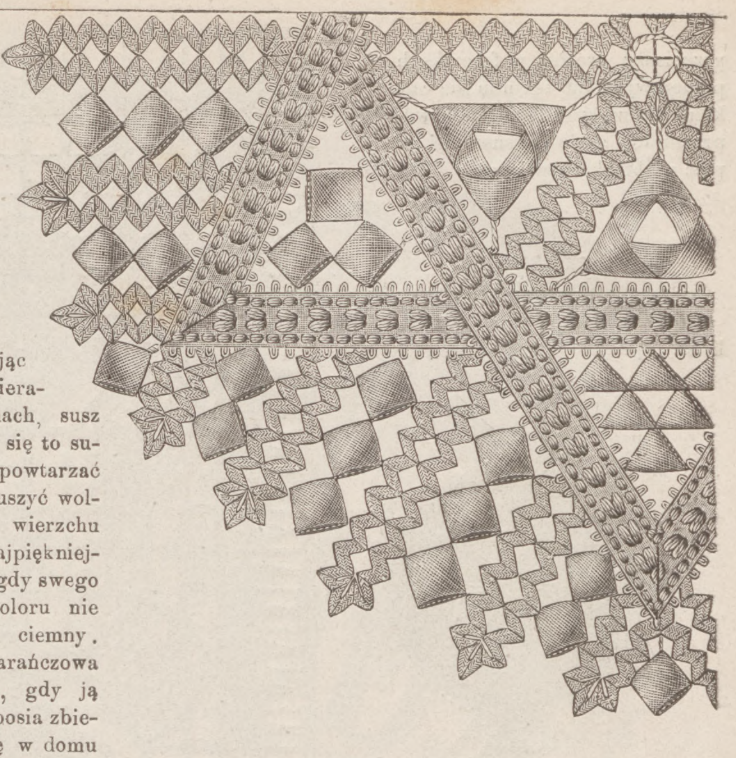
Zależy głównie na zabezpieczeniu ich od wpływu powietrza. W tym celu gdy śliwki są dojrzałe, ale jeszcze nie oblatują na ziemię obrywa się je z korzonkami ostrożnie i rozpościera w miejscu osłoniętem, mającem jednak przewiew powietrza, aby tam przez dwa lub trzy dni wyparowały. Po przeschnięciu takiem układa się je warstwami w beczce, przesypując pszenną mąką, tak, aby jedna drugiej nie dotykała i każda dokładnie przykrytą była. Gdy beczka już jest pełną przykrywa się ją denkiem szczelnie i wstawia do suchej izby. Chcąc niemi częstować gości, wybiera się śliwki z beczki, obmywa albo obciera z mąki, kładzie na sicie i trzyma przez niejaki czas nad gorącą parą, jednak nie zbyt blizko aby im para nie zaszkodziła. Przez naparzanie to, nabierają zwykłej swej niebieskiej barwy i mają zupełny pozór jakby świeżo z drzewa były zdjęte.



N. 17. Gwiazdka lub przykrycie na poduszeczkę. Patrz ryc. 16.



N. 27. Wskazanie kroju vetement ryc. 26.



N. 16. Część gwiazdy ryc. 17 z tasiemeczki w ząbki, torsadki i taśmy webowej.

Galareta z jabłek.

Jabłka czysto z ziarnek i skórki obrane, stosowną ilością wody nalane gotują się — gdy już są ugotowane zawieszają się w woreczku aby sok czysty z nich ociekł, lub też odrazu wyciskają się. Do tego dodaje się stosowna ilość cukru i wysmaża razem na galaretę — zdatne są na to i leśne jabłka tylko że więcej cukru potrzebują. Do pozostałej masy z jabłek dodawszy cukru, cynamonu, goździków, skórki pomarańczowej i migdałów krajanych wysmarza się jak najlepiej na serek jabłeczny —który trzeba w prasce

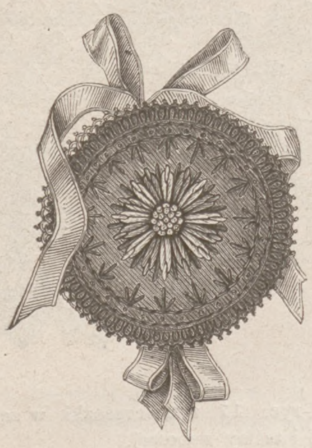


N. 26. Suknia z vetement skośno zapinanem. Patrz ryc. 36 i 27.

przycisnąć trochę w foremkach papierowych lub też nim się całkiem dosmarzy w foremkach wyprasować, a do wysuszenia w piec na blachach wsadzić.

Rydze marynowane.

Rydze zdrowe i średniej wielkości opłukać w zimnej wodzie



N. 29. Poduszeczka do igieł i szpilek.



N. 31. Kwadrat z siatki gipiurowej.

i na przetaku osączyć z wody. Następnie włożyć je do rondla przesypując krajaną cebulą i dusić na wolnym ogniu pod przykryciem aż się sos zupełnie wydusi, uważając jednak ciągle, aby się nie przypaliły. Gdy już sosu prawie nie będzie, dodać należy dwie szklanki octu, a po zagotowaniu razem z rydzami, wybrać rydze do słoja i zalać taką ilością octu, aby na wierzchu rydze pokryte nim były; gdy zupełnie wystygną pęcherzem zawiązać i do suchej śpiżarni lub piwnicy wynieść. Na stół podają się takie rydze polane oliwą i nieco opieprzone.

Tym samym sposobem marynują się grzyby.



N. 32. Kołnierzyk wykładany. Patrz ryc. 33 i 34.



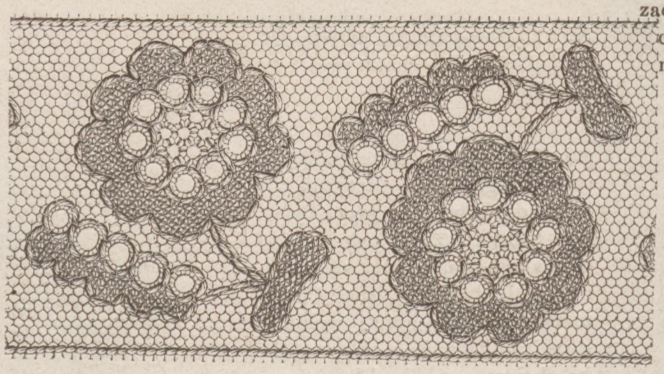
N. 33. Kołnierzyk wykładany.

Rydze kwaszone.

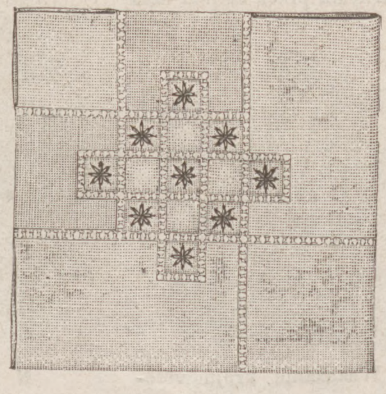
Rydze chociażby i duże byle nie robaczywe, ocierać jak najczyściej ściereczką i układać w słój kamienny garnek lub faseczkę, przesypując w miarę solą i krajaną cebulą, i tak ciągle aż do pełności naczynia, zostawić tak na parę godzin to ich dużo ubędzie jak utają, można znów dołożyć. Następnie okryć czystym gałgankiem płóciennym na to denkiem dobrze pasującem i przycisnąć kamieniem, i wynieść do piwnicy. Przed wydaniem na stół gdyby były zasłone wypłukać można w czystej wodzie, następnie polać oliwą i octem. Rydze kwaszone po długiem przechowywaniu czasem zaczynają pleśnieć, w takim razie wypłukać je w ciepłej wodzie, ułożyć w słój, zalać przego otowanym octem z korzeniami i obwiązać pęcherzem, będą bardzo dobre zamarynowane.



N. 36. Suknia z vetement. Patrz ryc. 24 i 25.



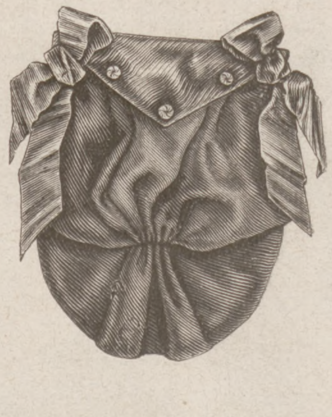
N. 35. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 34. Narażnik z kratki ażurowej, do ryc. 32.

Pomidory smarzone.

Dojrzałe pomidory rozgotować w rondlu bez wody, bo dosyć mają własnego soku, jak się rozgotują przecedzić przez sitko,



N. 30. Kieszeń do vetement

ponalewać w butelki suche, obwiązać pęcherzem i zagotować jak konserwy w kociołku wodą napełnionym minut 15. Butelki wyjmują się wtedy dopiero, gdy woda ostygnie, korkują i wynoszą do suchej piwnicy; tym sposobem zakonserwowane pomidory nie tracą bynajmniej na smaku i wyborna z nich zupa. Można także pomidory smażyć aż do gęstości jak powidła, nakładać małe słoiki i zalewać baranim łojem.

Korniszony.

Czysto opłukać, osączyć z wody na sicie, później osolić na misce i zostawić przez noc. Na drugi dzień obcierają się korniszony wrzucają do gotującego się octu aby zawrzały z łyżeczką od kawy saletry i niepełną łyżeczką ałunu, do dwóch kóp średniej wielkości korniszonów. Co się powtarza jeszcze dwa dni w tym samym occie, czwartego dnia zagotowywa się świeży najmocniejszy ocet z łyżeczką saletry i odrobiną ałunu, zalewa nim korniszony. Do przesypania korniszonów służy szabelbon obgotowany i szarlotka oraz mały stroneczek pieprzu tureckiego. Obwiązać pęcherzem i zachować w suchem miejscu.



N. 37. Suknia z vetement skośno zapinanem. Patrz ryc. 26 i 27.